

RES HUMANA

Humanizm
Racjonalizm
Kultura świecka

4 / 173
2021 r.

DWUMIESIĘCZNIK • ISSN 0867-847X Indeks 33426X • Numer 4 (173) 2021 Rok wyd. XXX • Cena 8,00 zł (w tym 8% VAT)



**Prof. Jerzy
J. WIATR:**
Polska na rozdrożu

czytamy s. 7

FAKTY • WYDARZENIA • OPINIE

- Donald TUSK w Polsce
- Joe Biden w Europie
- Finanse i majątek polskiego Kościoła

ROZMOWA Z „RES HUMANA”

Z prof. Jerzym WIATREM o Polsce na rozdrożu

W IMIĘ PRAWORZĄDNOŚCI

Trybunały i sądy europejskie krytyczne wobec sytuacji w Polsce

Z ROZWAŻAŃ FILOZOFA

Małgorzata B. JAKUBIAK o granicach ludzkiej tożsamości

ROCZNICOWE SPOTKANIA

Janusz TERMER o Stanisławie Lemie i Umberto Eco

STREFA PROZY

Zdzisław RACZYŃSKI: fragment nowej książki

Ewa NOWICKA: kolejny wykład antropologii

ŚWIADECTWA

Jerzy ŁADYKA o kulturze świeckiej
Miroslaw CHAŁUBIŃSKI
o Zygmuncie Baumanie

Ponadto:

FORUM MYŚLI NIEOBOJĘTNYCH •
WŚRÓD KSIĄŻEK

Jerzego J. WIATRA felieton „Co dwa miesiące”

Spis treści

FAKTY • WYDARZENIA • OPINIE

KOMENTARZ REDAKCYJNY

Nowa dynamika/1

Ewa KAKIET-SPRINGER

Joe Biden w Europie/3

Robert SMOLEŃ

Czy może powstać prawdziwa europejska dyplomacja?/4

Ksawery S. PIWOCKI

Majątek i finanse polskiego Kościoła/5

ROZMOWA Z „RES HUMANA”

Polska na rozdrożu

Z profesorem Jerzym J. Wiatrem

rozmawia redaktor Zdzisław Słowik/7

Post scriptum

Jerzy J. WIATR Jeszcze o opozycji/9

W IMIĘ PRAWORZĄDNOŚCI

Opr. Robert SMOLEŃ

Europejskie trybunały o polskich sprawach/11

Z ROZWAŻAŃ FILOZOFA

Małgorzata B. JAKUBIAK

O granicach ludzkiej tożsamości/14

ROCZNICOWE SPOTKANIA

Janusz TERMER

Zawiść i miłość:

Stanisław Lem o Umberto Eco/19

STREFA PROZY

Zdzisław RACZYŃSKI

Msza/23

SPOTKANIE Z ANTROPOLOGIĄ

Ewa NOWICKA

Ewolucja człowieka/28

ŚWIADECTWA

Jerzy ŁADYKA

O kulturze świeckiej/32 i III s. okł

Mirosław CHAŁUBIŃSKI

Obrona wygnańca

Uwagi o książce

Artura Domosławskiego/34

Jerzy J. WIATR

Mądre rozmowy: trzecia edycja/38

FORUM

MYŚLI NIEOBOJĘTNYCH

Andrzej ŻOR

Romansu z Romanowskim

ciąg dalszy/40

WŚRÓD KSIĄŻEK

Zdzisław SŁOWIK

Zrodzone z tragicznej niedoli/42

Wacława MIELEWCZYK

Dramat Powstania Warszawskiego/44

Andrzej ŻOR

Niemożliwy taniec linoskoczka/46

Młodzi a migracje – oczywiste

i nieoczywiste relacje/48

CO DWA MIESIĄCE

Jerzy J. WIATR

Rzeszowska lekcja/IV

i III s. okł.

RADA REDAKCYJNA: Mirosław CHAŁUBIŃSKI, Władysław LORANC, Dionizy TANALSKI, Danuta WANIEK, Jerzy J. WIATR – przewodniczący Rady, Andrzej ŻOR

REDAKCJA: Marek JAWORSKI, Tomasz KOZŁOWSKI, Wacława MIELEWCZYK – sekretarz redakcji, Wacław SADKOWSKI – z-ca redaktora naczelnego, Zdzisław SŁOWIK – redaktor naczelny, Robert SMOLEŃ – z-ca redaktora naczelnego, Daniel ZBYTEK

ADRES REDAKCJI: 00-102 Warszawa, ul. Marszałkowska 115, lok. 369 A; tel. 605-101-072, e-mail: reshumana@o2.pl

WYDAWCA: Rada Krajowa Towarzystwa Kultury Świeckiej im. Tadeusza Kotarbińskiego
www.kulturaswiecka.pl Czasowo strona internetowa jest zawieszona.

Druk w Drukarni ACAD w Józefowie

FAKTY WYDARZENIA OPINIE

Komentarz redakcyjny



Donald Tusk

Nowa dynamika

Jednego dnia dwie partie, które od szesnastu lat trzymają w okowach całą polską arenę polityczną, podjęły kluczowe decyzje. Donald Tusk ponownie przejął stery Platformy Obywatelskiej. Zrobił to w stylu, który sam dawno temu zdefiniował: władzę się bierze, nie czeka się aż ktoś ją przyniesie na tacy. Przeprowadził prawdziwy blitzkrieg; od jego deklaracji, że zamierza się w pełni poświęcić reanimacji PO do jednogłośnie (201:0) rozstrzygnięcia minęło raptem kilka dni. Zdecydowanie, stanowczość i sprawczość – to atuty wysoko cenione przez wyborców i sympatyków.

Partia przyklasnęła powrotowi swego ojca-założyciela. Rafał Trzaskowski, który początkowo próbował stawiać opór, ostatecznie nie

odważył się wytoczyć swych armat. Prawdopodobnie zresztą nie są one liczne. Prezydent Warszawy swoje zaplecze buduje raczej w środowiskach poza

Platformą. Teraz wyraźniej widać, jak bardzo roztrwonił kapitał zgromadzony podczas wyborów w stolicy w 2018 r. i zwłaszcza w ubiegłorocznych wyborach prezydenckich.

Nowy p.o. – na razie, ze względów proceduralnych – przewodniczący PO wygłosił błyskotliwe przemówienie, w którym jasno określił swój strategiczny cel (za dwa i pół roku odebrać władzę Prawu i Sprawiedliwości) oraz sugestywnie podzielił polityczną Polskę, na siły dobra i siły zła. Tzw. symetryści, próbujący trzymać równy dystans od obu wielkich stronnictw, zarzucili mu niezrozumienie zmian społecznych w kraju i próbę odgrzania hasel neoliberalnych. On jednak... nic takiego nie powiedział. W gruncie rzeczy przypomniał, że w warunkach podważenia zasad demokracji i państwa prawa nie można racjonalnie rozwiązywać problemów; trzeba więc najpierw przywrócić standardy funkcjonowania państwa XXI wieku należącego do UE i zachodniego kręgu cywilizacji politycznej. Całkowicie niezasadne jest też podejrzenie, że były przewodniczący Rady Europejskiej, przez pięć lat mierzący się z wyzwaniem współczesności – i to patrząc na nie przez pryzmat interesów i oczekiwań pół miliarda obywateli Wspólnoty, mógłby nie rozumieć znaczenia walki o zachowanie klimatu, cyfryzacji czy wzmocnienia „spójności” (tj. niwelowania różnic) społeczeństw.

Na konferencjach prasowych Tusk cierpliwie i ze swadą odpowiada na wszystkie pytania i natychmiast ruszył do objazdu Polski. Wygląda, że ma szansę wyrwać swą partię z letargu.

Na tym tle blado wypadł odbywający się w tych samych dniach kongres PiS. Delegaci szczerze zamknęli się przed opinią publiczną i mediami (co uprawdopodobniło tezę Tuska, że siła rządząca coś „knuje”). Jarosław Kaczyński został miażdżącą większością ponownie wybrany na funkcję prezesa; ponownie też oświadczył, że to już ostatni raz, a nawet, że zrezygnuje, jeśli tylko poczuje niezdolność do kierowania partią. Mateusz Morawiecki w końcu został wiceszefem ugrupowania, ale konieczność wielomiesięcznego przekonywania działaczy do tego wyboru, i to przez samego lidera, źle rokuję planowi sukcesji, którego przywódca tego obozu najwyraźniej konsekwentnie się trzyma.

PiS przyznało w specjalnej uchwale, że nie może sobie poradzić z toczącym je rakiem nepotyzmu. Prezes ostrzegł, że jeśli to się nie zmieni, ponowne zwycięstwo będzie niemożliwe. Wątpliwe jednak, by te słowa miały moc zatrzymania trwających procesów.

Powrót Tuska nie jest kłopotem wyłącznie dla PiS i – bardzo osobiście – jego przywódcy. Można się spodziewać polaryzacji sceny politycznej. Elektoraty mniejszych formacji, Lewicy, PSL, także nieugruntowanego jeszcze ruchu Szymona Hołowni, prawdopodobnie zaczną ciążyć ku biegunowi o dużej sile przyciągania. To problem dla ich kierownictw, ale szansa na zbudowanie w najbliższych wyborach realnej alternatywy dla populistycznej prawicy.



Joe Biden w Europie

Dziś nie ma już Ameryki sprzed Donalda Trumpa. Nie ma także tamtego świata, a zwłaszcza tamtych Chin. Według szacunków Państwo Środka stanie się największą gospodarką świata w ciągu najbliższych kilku dekad. W lipcu 2020 r. Chiny odebrały USA pierwsze miejsce w wymianie handlowej z Unią Europejską. Nie ma wątpliwości. Tamten świat odjechał, a Ameryka została na peronie.

Czy europejskie spotkania Joe Bidena na szczycie oraz rozmowa z prezydentem Putinem pozwolą Ameryce dogonić utracony czas i utrzymać pierwsze miejsce na podium? Czy naprawdę powróciła do zmienionego świata, w którym jej prezydenta witano już nie jak „prezesa klubu”, ale – jak powiedział Emanuel Macron – „jako chętnego do współpracy członka”? Co zabrał ze sobą do Ameryki, która kocha zwycięzców i wspaniałe powroty? Przeglądając (znacznie mniej liczne od tych sprzed wizyty) komentarze i opracowania nie można się oprzeć wrażeniu, że to, z czym wrócił mieści się raczej w obszarze „miękkich” niż twardej i namacalnych rezultatów. Trzy cytowane jako najważniejsze osiągnięcia spotkania z przedstawicielami Unii Europejskiej to: opracowanie ram współpracy w zakresie dużych samolotów lotnictwa cywilnego; rozpoczęcie do końca roku rozmów dotyczących różnic w zakresie stali i aluminium; oraz ustanowienie, bez określonej daty, Rady Handlu i Technologii, której członkami będą Unia Europejska i USA.

Jeszcze bardziej enigmatyczne wydają się być, ogłoszone na dwu oddzielnych konferencjach, rezultaty spotkania prezydentów USA i Rosji. Gdyby nie wygłoszone przez obu zapewnienia co do pozytywnego tonu i atmosfery spotkania można byłoby odnieść wrażenie, że obaj panowie byli na innych spotkaniach. „Osiągnąłem to, po co przyjechałem” powiedział Joe Biden podczas swojej konferencji podkreślając wagę spotkania „twarz w twarz”, które pozwala uniknąć nieporozumień. „Świat zmienia się radykalnie i nasi amerykańscy partnerzy zdają sobie z tego sprawę, dlatego też spotykamy się w Genewie, ale z drugiej strony starają się zabezpieczyć swoją pozycję monopolisty używając gróźb, sankcji, ćwiczeń militarnych i prowokacji” – powiedział Władimir Putin w rosyjskiej telewizji. Trzy wymierne efekty spotkania, to: powrót ambasadorów USA do Moskwy i Rosji do Waszyngtonu; podjęcie rozmów w zakresie cyberbezpieczeństwa w ustalonym przez strony zakresie; oraz wymiana więźniów. We wspólnym komunikacie prasowym obaj prezydenci potwierdzili także zaangażowanie w przeciwdziałanie wojnie nuklearnej i podjęcie rozmów w zakresie kontroli zbrojeń.

A świat toczy się dalej. Gospodarcza strategia Joe Bidena przypomina „Nowy Ład” Franklina Delano Roosevelta; amerykańska struktura demograficzna, a tym samym wiele elementów kulturowych i społecznych, ulega gwałtownej przemianie; ponad 144 kraje, w tym 34 europejskie, są już sygnatariuszami chińskiego Pasa i Szlaku; Chińczycy wysłali załogowy statek kosmiczny na zbudowaną przez siebie stację; Rosjanie i Chińczycy odnowili podpisany przed 20 laty traktat

o współpracy; na Pacyfiku roi się od prowadzących ćwiczenia okrętów wojennych; Prezydent Putin właśnie zatwierdził zrewidowaną wersję narodowej strategii bezpieczeństwa; a odpowiedź na pytanie, jakie są realne efekty wizyty Joe Bidena w Europie pozostaje nadal w sferze spekulacji.

Ewa KAKIET-SPRINGER

Czy może powstać prawdziwa europejska dyplomacja?

Włodzimierz CIMOSZEWICZ zaprosił kilkudziesięciu ekspertów wysokiej klasy – politologów, znawców stosunków międzynarodowych, europeistów, prawników; albo inaczej: naukowców ze świata akademii, analityków z think-tanków, publicystów – do dyskusji nad przyszłością polityki zagranicznej Unii Europejskiej. Od 9 maja na przestrzeni między Brestem a Brześciem toczy się (a przynajmniej powinna) Konferencja o przyszłości Europy, w trakcie której obywatele UE mają szansę określić, czego oczekują od swojej Wspólnoty. Brukselskie instytucje, Komisja i Parlament, zapewniają, że wnioski z tej debaty wpiszą w plan dalszych działań Unii. Jeśli trzeba będzie, może zostać zainicjowana procedura zmian traktatów stanowiących fundament UE.

Można więc dyskutować o sprawach, które w innych warunkach byłyby uznane za obrazoburcze i niemieszczące się w kanonie ostrożności politycznej. Wspólna polityka zagraniczna UE (pisana małymi literami, bo choć istnieje identycznie brzmiący termin oficjalny, to jednak ta dziedzina jest wciąż „wspólna” wyłącznie z nazwy) należy do tej kategorii. 27 państw, choć okazały się one skłonne przekazać Unii wiele kompetencji, także wrażliwych (np. prowadzenie polityki handlowej, a w strefie euro – emisję pieniądza), zazdrośnie strzeże swoich uprawnień w obszarze polityki zagranicznej i bezpieczeństwa. Tymczasem Unia Europejska jako silny podmiot stosunków międzynarodowych byłaby w stanie skuteczniej gwarantować interesy jej obywateli i państw członkowskich.

Prelegentami na konferencji pt. „Uwspólnotowienie polityki zagranicznej UE – argumenty i postulaty”, oprócz samego premiera – obecnie członka Komisji Spraw Zagranicznych oraz Spraw Konstytucyjnych Parlamentu Europejskiego, byli m.in.: profesor Roman KUŹNIAR z Wydziału Nauk Politycznych i Studiów Międzynarodowych UW, Jarosław BRATKIEWICZ – dyplomata i autor książki „Eurazjatyzm na wspak”, Patrycja SASNAL – kierowniczka Biura Badań i Analiz Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych, eksambasadorzy Adam KUŁACH i Grzegorz MICHALSKI. Fundacja Naukowa im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego – Centrum Analiz Strategicznych przygotowała raport zawierający tezę, iż pierwszym krokiem w stronę uwspólnotowienia polityki zagranicznej UE powinna stać się zmiana sposobu podejmowania decyzji także w tych sprawach na metodę większości kwalifikowanej; rysujący pięć następujących kroków; postu-

lujący podjęcie szerokiego dialogu z obywatelami na ten temat, aby pozyskać dla tych propozycji opinię publiczną i w ten sposób wyrzucić presję na rządy z zasady niechętnie idei wspólnej polityki.

W dyskusji (głos zabierali m.in. minister Adam Daniel ROTFELD, były ambasador w Niemczech oraz we Francji Andrzej BYRT, główny negocjator członkostwa Polski w UE Jan TRUSZCZYŃSKI, doświadczeni dyplomaci) rozważano kwestie tożsamości europejskiej, możliwe praktyczne niebezpieczeństwa wiążące się ze wspólną reprezentacją na arenie światowej – do czego asumpt dała np. nieudana wizyta obecnego Wysokiego Przedstawiciela UE Josepa Borrella w Moskwie, korzyści dla Polski i jej obywateli z prowadzenia polityki w Europie Wschodniej przez tak dużego gracza jak UE, skomplikowany pakiet problemów basenu Morza Śródziemnego.

Wnioski z konferencji zostaną spisane w postaci zwięzłego materiału – do ewentualnego przekazania decydom w Brukseli. Na zakończenie gospodarz spotkania, Włodzimierz CIMOSZEWICZ, zaprosił uczestników do regularnych dyskusji w tym gronie.

Robert SMOLEŃ

Majątek i finanse polskiego Kościoła

Majątek i finanse polskiego Kościoła należą do dziedziny, o której nie chce on mówić, ani informować opinii publicznej. Nie ma o nich mowy także w raporcie Instytutu Statystyki Kościoła katolickiego opracowanym i opublikowanym niedawno przez warszawskich Pallotynów.

Ale zdarza się, że dzięki tyle niezależnym co docieklivym mediom coś niecoś o tej ukrywanej działalności Kościoła przenika do wiadomości ich odbiorców. Z dwóch znakomicie udokumentowanych tekstów Dominiki Wielowieyskiej w Wolnej Sobocie „Gazety Wyborczej” (z połowy kwietnia 2021 r.) dowiadujemy się, że roczne przychody polskiego Kościoła wynoszą ogółem 17 mld złotych, przy czym datki wiernych „na tacę” stanowią niewielką i malejącą ostatnio ich część. Natomiast na otrzymanych w latach 1989–2011 65 700 ha gruntów i 490 budynków i lokali od osławionej licznymi przekrętami Komisji Majątkowej, oraz przejęciu 76 000 ha gruntów w ramach tzw. rekompensaty na Ziemiach Odzyskanych – Kościół uzyskał majątek, który, przynajmniej, wykorzystuje roztropnie. Stał się oto sprzedawcą z reguły bardzo atrakcyjnie usytuowanych gruntów wielu nabywcom, głównie różnym deweloperom, stając się zarazem jednym z nich. „Kościół ma konserwatywne zasady – podsumowuje dziennikarka „Wyborczej”. Żadnej giełdy, spekulacji, walut. Tylko biurowce, hotele, pensjonaty, spa, grunty rolne”.

Oto przykłady. Bazylika Mariacka w Krakowie, dzięki wspomnianej Komisji Majątkowej, otrzymała dwie działki warte przed laty 9,5 mln zł i kilka kamienic

w Rynku Głównym i jego najbliższej okolicy. Prowadzi tam Hotel Wit Stwosz. W Warszawie kuria inwestuje w powierzchnie na wynajem: Roma Office Center – dziewięciokondygnacyjny budynek w centrum stolicy o powierzchni użytkowej ok. 18 tys. m kw – przynosił (przed pandemią) 10 mln złotych. Zapewne podobne dochody przynosi kurialne Centrum Jasna usytuowane obok Poczty Głównej i wynajmujące biura m.in. przedstawicielstwu Komisji Europejskiej w Polsce.

Ale to nie wszystkie majątki i dochody Kościoła wobec kwot przekazywanych bezpośrednio z budżetu państwa na dwa kosztowne cele: na finansowanie lekcji religii w szkołach (około 1,5 mld zł rocznie) oraz na Fundusz Kościelny, z którego pokrywane są przez państwo składki ZUS za księży, ale też wspomagane inicjatywy charytatywne Kościoła oraz remont zabytkowych świątyń (w 2020 r. wysokość tego funduszu wzrosła do 181,8 mln zł).

Choć nikt z osób czy instytucji odpowiedzialnych za państwo nie zamierza odbierać Kościołowi tego co mu się należało i należy w ramach istniejącego prawa to jednak nieprzejrzystość wielu przychodów czy wydatków polskiego Kościoła czy też zupełnie nieuzasadnione przywileje, zwłaszcza podatkowe, dyktują potrzebę rozmów przedstawicieli państwa i Kościoła w celu uregulowania kwestii spornych czy wynikających także z ustaleń konkordatowych. W czasie obecnych rządów Prawa i Sprawiedliwości takich rozmów się nie prowadzi, natomiast ochocho uczestniczy w imprezach i mediach ojca Tadeusza Rydzyka oraz dokonuje się ustaleń nieujawnianych opinii publicznej.

W tej sytuacji pewną nadzieję stwarzają inicjatywy legislacyjne zaproponowane ostatnio przez Klub Lewicy w Sejmie, choć skupiają się one głównie na likwidacji nadmiernych przywilejów podatkowych polskiego Kościoła. Natomiast oczekiwać warto na powrót do dyskusji o podatku na Kościół, o nowelizacji konkordatu czy nauczaniu religii w szkole.

Ksawery S. PIWOCKI

ZAPROSZENIE

do czytania i prenumeraty RES HUMANA w 2021 roku

Serdecznie zapraszamy wszystkich przyjaciół myśli niezależnej do czytania i prenumeraty RES HUMANA w 2021 roku. Koszt rocznej prenumeraty rocznej, wraz z kosztami przesyłki pocztowej, wynosi 48 zł. Zamówienia najprościej zrealizować poprzez wpłatę należności na konto Redakcji w Banku Millennium nr 46 1160 2202 0000 0000 5515 5146 i nasz adres 00-102 WARSZAWA, ul. Marszałkowska 115 lok. 369 A.

Czekamy na wszystkich Państwa w „RES HUMANA”.

Redakcja „RES HUMANA”

ROZMOWA Z „RES HUMANA”

Polska na rozdrożu

Z profesorem Jerzym J. WIATREM
rozmawia redaktor Zdzisław Słowik

Zdzisław SŁOWIK (ZS). Chaotyczna i niespójna, a zarazem postępująca destrukcja rządzącej obecnie w Polsce władzy PiS, rodzi niepokój społeczny, coraz bardziej odczuwany w ostatnich miesiącach, i narzucający pytania – co się dziś w Polsce dzieje i do czego to wszystko prowadzi? Jaka jest Pana, Panie Profesorze, odpowiedź na te pytania?

Jerzy J. WIATR (JJW). Rozmawiamy 25 czerwca, w dniu, w którym ogłoszono wyjście trójki posłów z klubu tak zwanej Zjednoczonej Prawicy, co skutkuje utraceniem przez nią większości sejmowej, oraz poznaliśmy wyniki nowego sondażu (dla TVN), w którym PiS ma zaledwie 30% poparcia, to znaczy znacząco mniej niż dwa główne ugrupowania opozycyjne: Polska 2050 (21%) i Koalicja Obywatelska (19%). Sytuacja jest niezwykle dynamiczna. Zanim ta rozmowa ukaże się, możemy być świadkami dalszego pogłębiania się kryzysu politycznego. Kryzys ten wynika głównie z czterech okoliczności. Po pierwsze – z niewywiązywania się PiS z wygórowanych obietnic wyborczych i, co za tym idzie, erozji wiarygodności tej formacji. Po drugie – z radykalizacji nastrojów opozycyjnych, co jest przede wszystkim konsekwencją zagrożenia, jakie dla praw i wolności obywatelskich stanowią takie posunięcia obozu rządzącego, jak zaostrzenie ustawy antyaborcyjnej, klerykalizacja edukacji i demontowanie rządów prawa. Po trzecie: z niezadowolenia znacznej większości naszego społeczeństwa z tego, jak słabnie pozycja Polski w Unii Europejskiej w wyniku antyeuropejskiej polityki obecnego rządu. Po czwarte wreszcie – z nieudolnego radzenia sobie ze skutkami pandemii. Kryzys ten będzie trwał, a nawet będzie się pogłębiał. Obóz rządzący wyczerpał już potencjał pozytywnej zmiany. Może jeszcze trwać, ale już na coraz słabszych pozycjach

ZS. Czym charakteryzuje się obecna sytuacja tego obozu? Co powoduje jego postępującą dezintegrację?

JJW. Obóz rządzący wszedł w fazę stopniowego rozpadu. Opuszczanie przez niektórych posłów klubu będącego bazą polityczną rządu jest zjawiskiem bardzo rzadkim, gdyż na rzecz jedności rządzącej większości działają zwykle nie tylko względy ideowe, ale także bardzo przyziemne interesy, zwłaszcza materialne. Jeśli kolejni posłowie odchodzą, znaczy to, że coś bardzo złego dzieje się w rządzącej formacji. Liczyć się należy także z tym, że grupa posłów skupiona wokół Jarosława Gowina od pewnego czasu zachowuje się tak, jakby ich wyjście z rządzącej większości było tylko kwestią czasu. Taka kondycja obozu rządzącego jest konsekwencją nie tylko wspomnianych poprzednio niepowodzeń, ale także – autokratycznego stylu kierowania tym obozem przez Jarosława Kaczyńskiego. Nie dopuszcza on do prawdziwej debaty wewnątrzpartyjnej, traktuje współpracowników jak podwładnych, coraz częściej traci panowanie nad sobą, także publicznie, w tym na sali sejmowej. Póki Zjednoczona Prawica była na fali wznoszącej,

takie zachowanie było akceptowane. Teraz rodzi coraz silniejszy (choć nadal najczęściej ukryty) opór.

ZS. Narzuca się w tym miejscu pytanie o stan obecnej opozycji. Czy jest ona zdolna podjąć wyzwanie, to znaczy czy ma dość sił i woli, aby odsunąć od władzy obóz PiS?

JJW. Niestety, stan opozycji jest nie najlepszy. Cierpi ona na dwie podstawowe choroby: brak silnego, ogólnie akceptowanego przywództwa oraz niejasność programową. Zmarnowana została szansa zbudowania silnego frontu zjednoczonej opozycji wokół Rafała Trzaskowskiego, którego wynik w zeszłorocznych wyborach prezydenckich rodził spore nadzieje na korzystną dla demokracji zmianę. Mówi się sporo o powrocie Donalda Tuska, ale nie we wszystkich segmentach opozycji perspektywa ta przyjmowana jest z entuzjazmem. Opozycja jest wciąż podzielona, co zmniejsza jej szanse na sukces w wyborach parlamentarnych. Przywódcy partii opozycyjnych nie wyciągnęli, jak dotąd, wniosków z tego, że jedyne wygrane przez nią wybory to te, w których występowały one razem, jak w zeszłym roku w wyborach do Senatu, czy w tym roku w wyborach prezydenta Rzeszowa. Mam jednak nadzieję, że rozwój wydarzeń, w tym zwłaszcza presja opozycyjnych wyborców skłoni przywódców partii opozycyjnych do zmiany dotychczasowej polityki.

ZS. Jak na tym tle przedstawia się sytuacja na lewicy? Jej obecność w obecnym parlamencie jest wartością nieocenioną, choć budzi też obawy, czy zdolna będzie powtórzyć swój sukces z ostatnich wyborów. Bliska to sprawa wielu środowiskom polskiej lewicy, także humanistycznemu ruchowi świeckiemu.

JJW. Z wielkim bólem muszę stwierdzić, że ta krytyczna ocena odnosi się w pełni do lewicy. Jej notowania sondażowe powinny być dzwonkiem alarmowym. Dziś, niespełna dwa lata po wyborach sejmowych, deklarowany zamiar głosowania na lewicę wynosi połowę wyniku uzyskanego w tamtym głosowaniu. Lewica nie idzie do przodu, lecz traci poparcie. Nie jest to konsekwencją jakiegoś jednego błędu, lecz przedłużającego się marazmu. Brakuje silnego i popularnego przywództwa, jak to, które w przeszłości zapewniał lewicy Aleksander Kwaśniewski. Kompromitujący był wynik dwojga kandydatów lewicy w wyborach prezydenckich – Magdaleny Ogórek w 2015 roku i Roberta Biedronia w roku 2020 – w obu wypadkach niewiele ponad dwa procent głosów. Przypominam, że w 2010 roku Grzegorz Napieralski zajął trzecie miejsce i zdobył prawie 14 procent głosów. Co się więc stało od tego czasu? Myślę, że lewica nie potrafi wyraźnie określić swojego miejsca w dzielącym dziś Polskę wielkim podziale na siły demokratyczne i autorytarne. Daleki jestem od przypisywania politykom lewicy zamiaru porozumienia się z obozem rządzącym, co im niesłusznie imputowali liczni publicyści, zwłaszcza Tomasz Lis. Rzecz w czym innym. Uporczywie akcentując dystans od innych formacji opozycyjnych przywódcy lewicy rozmijają się z nastrojami własnego elektoratu, który jest bardzo zdecydowanie antypisowski. Przed pierwszą turą wyborów prezydenckich bezskutecznie wzywałem Roberta Biedronia, by jednoznacznie zadeklarował poparcie dla tego kandydata demokratycznej opozycji, który przejdzie do drugiej tury. Jego żenująco słaby wynik był, jak jestem przekonany, konsekwencją tego, że przed pierwszą turą deklarował brak jakiegokolwiek różnicy między Andrzejem Dudą i Rafałem Trzaskowskim, co musiało zniechęcać do oddania na niego głosu. Czy wyciągnięto z tego jakiegokolwiek wnioski?

ZS. Czyli, mówiąc najkrócej, co może być przysłowiowym lekarstwem na te dolegliwości lewicy?

JJW. Obecną sytuację lewicy można zmienić, ale pod warunkiem rewizji dotychczasowej taktyki, zbudowania mądrego programu i sięgnięcia do ludzi cieszących się politycznym autorytetem. Trzydzieści lat temu byliśmy w bardzo złej sytuacji, ale wtedy potrafili-

śmy ją przekuć w polityczny sukces lewicy. Warto nie tylko o tym pamiętać, ale także uczyć się na tym doświadczeniu.

ZS. Zbliżając się do końca naszej rozmowy nie mogę nie zapytać o problemy mające dziś dla Polski charakter strategiczny, które powinny organizować nasze wysiłki, aby je pomyślnie zrealizować. Zachwalany ostatnio PiS-owski „Nowy ład” pominął w istocie tę problematykę.

JW. Widzę cztery takie problemy. Po pierwsze, zahamowanie, a następnie cofnięcie autorytarnego kursu politycznego, odbudowa rządów prawa, odpartyjnienie wojska, policji i służb specjalnych, pozbycie się z kierownictwa spółek skarbu państwa partyjnych nominatów – słowem likwidacja bardzo złej spuścizny po rządach PiS. Po drugie, przywrócenie Polsce normalnego miejsca w Unii Europejskiej i autorytetu w polityce międzynarodowej. Po trzecie, dokonanie przemyślanej rewizji polityki społeczno-gospodarczej tak, by harmonijnie łączyła ona wymogi wzrostu gospodarczego z troską o środowisko naturalne i o zmniejszanie społecznych nierówności. Po czwarte, rewizja polityki wobec Kościoła katolickiego, odejście od postawy poddańczej, odważne wyjście naprzeciw postulatом świeckości państwa, wolności światopoglądowej i poszanowania praw mniejszości, w tym także seksualnych. Wszystko to wymaga, rzecz prosta, odsunięcia PiS od władzy, ale samo tylko wygranie wyborów spraw tych nie rozwiąże. Jestem jednak optymistą co do ostatecznego wyniku tej walki.

Bardzo dziękuję za rozmowę.

Post scriptum

Jerzy J. WIATR

Jeszcze o opozycji

„Trybuna”

Nr 88-89/2021
5-6 maja 2021 r.

Sam fakt polaryzacji politycznej nie jest niczym osobliwym. W państwach o tradycji anglosaskiej, w tym zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych, polaryzacja polityczna znajduje wyraz w trwałym podziale sceny politycznej między dwie dominujące partie.

W kadencji 2015-2019 polskiego parlamentu, politycznym wyrazem tego podziału była wyraźna dominacja dwóch partii politycznych: Prawa i Sprawiedliwości oraz Platformy Obywatelskiej. Wydawać się mogło, że polski system partyjny ewoluuje w kierunku dwubiegunowego układu, w którym Prawo i Sprawiedliwość oraz Platforma Obywatelska odgrywać będą rolę hegemonów w stosunku do mniejszych i uzależnionych od nich partnerów.

Zmieniło się to po wyborach parlamentarnych 2019 roku. Wybory te przyniosły dwie istotne korektory w stosunku do poprzedniego układu sił. Pierwszą było uzyskanie relatywnie silnej pozycji przez dwa ugrupowania wchodzące u boku PiS w skład Zjednoczonej Prawicy. Mając po kilkunastu posłów Zbigniew Ziobro i Jarosław Gowin są w stanie uprawiać w miarę samodzielną grę polityczną, czym bardzo komplikują sytuację Prawa i Sprawiedliwości – partii dominującej w obozie rządzącym, ale nie mającej samodzielnej większości parlamentarnej.

Po stronie opozycyjnej najważniejsze dwie zmiany to uzyskanie przez lewicę stosunkowo silnej reprezentacji sejmowej, a następnie pojawienie się – po wyborach prezydenckich – nowej formacji zbudowanej wokół Szymona Hołowni („Polska 2050”). Oznacza to, że ani Prawo i Sprawiedliwość ani Platforma Obywatelska nie mają już tak jednoznacznie hegemonicznej pozycji, jak w poprzedniej kadencji.

Nie oznacza to, by znikła polaryzacja polskiej sceny politycznej. Oznacza, że polaryzacja ta przybrała nową, zdeformowaną postać.

Żadna bowiem ze stron spolaryzowanej sceny politycznej nie jest wystarczająco skonsolidowana, by zapewniło to stabilność całego systemu.

Przed wyborami 2019 roku i bezpośrednio po nich pisałem parokrotnie, że opozycja powinna zjednoczyć siły, gdyż tylko tą drogą może odebrać władzę Prawu i Sprawiedliwości. Pamiętajmy, że przed poprzednimi wyborami sejmowymi to w wyniku decyzji Platformy Obywatelskiej nie doszło do powstania wspólnych list z udziałem lewicy. Ta ostatnia (a przynajmniej jej najsilniejszy członek, Sojusz Lewicy Demokratycznej) była na koalicję wyborczą gotowa. Z arytmetyki wyborczej wynika, że przy obowiązującej ordynacji d'Hondta powstanie wspólnej listy całej opozycji doprowadziłoby do utracenia przez PiS większości, jak to się stało w wyborach do Senatu. Na przeszkodzie stanęły wówczas polityczne fobie znacznej części przywódców Platformy Obywatelskiej, wciąż widzących w lewicy kontynuację zniechęconej PRL. Dzięki temu Jarosław Kaczyński dostał cztery dalsze lata na dewastowanie polskiej demokracji.

To już historia. Ma ona jednak znaczenie dla zrozumienia dzisiejszych problemów opozycji. Jeśli opozycja na serio chce wygrać, to musi wyciągnąć wnioski z tego, że nie istnieje już oczywista hegemonia jednej partii opozycyjnej, z czego wynika, że sukces opozycja może osiągnąć tylko na drodze partnerskiego współdziałania.

Współdziałanie to powinno zakładać ustalenie pewnego wspólnego minimum programowego oraz stworzenie mechanizmu koordynacji działań ugrupowań wchodzących w skład opozycyjnej koalicji. To rozumowanie skłania mnie do innego spojrzenia na sporną sprawę porozumienia się lewicy z rządem w sprawie funduszu odbudowy. Nie byłem i nie jestem entuzjastą tego porozumienia, choć trafiają mi do przekonania argumenty Aleksandra Kwaśniewskiego, broniącego tej decyzji w imię ważnego interesu narodowego. Nacisk położyłbym jednak na coś innego.

Podstawowym błędem opozycji było to, że nie wypracowała ona wspólnego stanowiska w tej ważnej kwestii. Gdy politycy PO (i bliscy im publicyści) pomstują na to, że lewica „zdradziła” opozycję, warto zapytać, gdzie i w jakiej formie opozycja zajęła wspólne stanowisko, z którego lewica rzekomo się wyłamała. Jedności opozycji nie uzyskuje się na drodze narzucania wszystkim jej odcieniom stanowiska najsilniejszej partii opozycyjnej, którą wciąż jeszcze jest Platforma Obywatelska. Jest to zresztą przewaga szybko malejąca. Ogłoszony parę dni temu sondaż ośrodka Kantar daje Koalicji Obywatelskiej 21 proc. głosów, „Polsce 2050” 20 proc., a Lewicy 9 proc. Te trzy formacje wspólnie mają znaczną przewagę nad Zjednoczoną Prawicą, na którą głosować chce 30 proc. badanych. Zarazem zaś widać, że nie ma już po stronie opozycyjnej jednego hegemonia. Im szybciej przywódcy PO to zrozumieją, tym większe będą szanse na pokonanie obozu rządzącego.

Pokonanie tego obozu uważam za sprawę znacznie ważniejszą niż podziały w łonie opozycji. Dlatego od dawna polemizuję z „symetrykami”, dla których nie ma różnicy między Prawem i Sprawiedliwością i Platformą Obywatelską. Daje mi to prawo, by otwarcie przeciwstawiać się roszczeniom części polityków PO do hegemonicznej pozycji w stosunku do innych sił opozycyjnych. Na takiej podstawie nie zbuduje się wspólnego frontu opozycji demokratycznej.

Co więc należy zrobić?

Przede wszystkim obniżyć temperaturę sporu. Tu nie idzie o „zdradę” czy o „haniebną decyzję”, by przypomnieć niektóre epitety, które padły w niedawnej polemice. Tu idzie o brak wcześniej wypracowanego porozumienia całej demokratycznej opozycji. By to się nie powtórzyło, trzeba podjąć poważną pracę programową.

Jej przygotowaniem mogłoby być powołanie pod auspicjami byłych prezydentów Lecha Wałęsy, Aleksandra Kwaśniewskiego i Bronisława Komorowskiego „kolégium seniorów” złożonego z osób znanych, a już nie pełniących funkcji politycznych, których zadaniem byłoby wypracowanie programowych podstaw porozumienia głównych sił opozycyjnych. Gdy ciało to przedstawi swe propozycje, decyzje będą należały do statutowych ciał kierowniczych partii opozycyjnych. Byłoby jednak dobrze, gdyby ciała te podejmowały decyzje na dobrze przygotowanym gruncie i w klimacie sprzyjającym osiągnięciu partnerskiego porozumienia.

Nie wiemy, jak długo potrwa obecny układ polityczny. Wiele wskazuje na to, że wszedł on w fazę schyłkową. Tym ważniejsze jest, by opozycja wyciągnęła wnioski z popełnionych błędów i dobrze przygotowała się na spotkanie nowych wyzwań.

W IMIĘ PRAWORZĄDNOŚCI

Europejskie trybunały o polskich sprawach

Stan praworządności w Polsce pozostaje przedmiotem zainteresowania i troski sądów Europy. Oprócz luksemburskiego Trybunału Sprawiedliwości UE, wyroki w tych sprawach zaczął wydawać także Europejski Trybunał Praw Człowieka (ETPCz) w Strasburgu. To organ utworzony na mocy zawartej pod auspicjami Rady Europy Europejskiej Konwencji Praw Człowieka – jednego z najpoważniejszych katalogów zasad oraz zobowiązań państw w tej materii. Sam Trybunał cieszy się niekwestionowaną renomą w świecie prawniczym i wśród państw szanujących swobody i wolności ich obywateli; dla osób, których prawa są naruszane, często jest ostatnią nadzieją.

Za tym zbiegiem orzeczeń nie kryje się naturalnie żaden spisek – choć tak chyba, między wierszami, próbują wmawiać przedstawiciele obozu aktualnie rządzącego Rzeczpospolitą; dopisali oni trybunał strasburski do listy międzynarodowych instytucji ich zdaniem nieprzyjaznych obecnym władzom w Warszawie. Prawda jest mniej tajemnicza. Po prostu młyny sprawiedliwości miały powoli. Rozstrzygane są teraz sprawy wniesione na początku procesu podporządkowywania przez władzę wykonawczą władzy sądowniczej (aby skierować skargę do ETPCz trzeba bezwzględnie przejść całą procedurę sądową i odwoławczą przewidzianą w prawie krajowym). Bez wątplenia podobnych wyroków będzie w najbliższym czasie więcej.

Ostatnio Trybunał wydał dwa kluczowe rozstrzygnięcia: w sprawie wytoczonej przez firmę Xero Flor uznał, że polski Trybunał Konstytucyjny z udziałem osoby wybranej na miejsce już zajęte (czyli z tzw. sędzią-dublerem w składzie) nie jest sądem „ustanowionym zgodnie z ustawą”. W postępowaniu dotyczącym dwójki wiceprezesów Sądu Okręgowego w Kielcach odwołanych przed końcem kadencji przez ministra sprawiedliwości (na mocy nadzwyczajnego uprawnienia nadanego mu specustawą) orzekł naruszenie „prawa do rzetelnego procesu sądowego” i stwierdził, że zgodność przepisów przywołanej ustawy ze standardami państwa prawa „wydaje się wątpliwa”.

Z kolei Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej przy okazji wyroku w sprawie nazywanej skrótowo „sprawą sędziów rumuńskich” odniósł się do kwestii relacji prawa unijnego do krajowego, włącznie z przepisami konstytucyjnymi. To orzeczenie w zasadniczy sposób wytrąca z ręki argument, którym ostatnio chętnie posługują się politycy Prawa i Sprawiedliwości, by uchylać się od stosowania norm obowiązujących w całej unijnej przestrzeni prawnej.

TSUE o prymacie prawa unijnego

Sądy rumuńskie skierowały do TSUE 6 wniosków z 28 pytaniami prejudycjalnymi związanymi z reformą wymiaru sprawiedliwości i walką z korupcją wprowadzonymi podczas wchodzenia tego państwa do Unii Europejskiej i następnie zmienionymi w latach 2017–19. Sądy odnotowały m.in. w tym kontekście orzecznictwo krajowe, zgodnie z którym prawo Unii nie ma pierwszeństwa przed porządkiem konstytucyjnym Rumunii.

Obecny polski rząd, jako jedyny obok rumuńskiego, zakwestionował właściwość Trybunału do udzielenia odpowiedzi na zadane pytania. Odnotowano to w treści wyroku: „Jego [rządu RP] zdaniem bowiem wątpliwości wyrażone przez sądy odsyłające w odniesieniu do zgodności ustawodawstwa rumuńskiego z prawem Unii dotyczą, po pierwsze, organizacji wymiaru sprawiedliwości, dokładniej procedury powoływania członków inspekcji sądowej, oraz wewnętrznej organizacji prokuratury, a po drugie systemu odpowiedzialności państwa za szkody wyrządzone jednostkom przez sędziów wskutek naruszenia prawa wewnętrznego. Tymczasem te dwie dziedziny należą do wyłącznej kompetencji państw członkowskich i w związku z tym leżą poza zakresem stosowania prawa Unii”¹.

Trybunał przeanalizował argumenty obu rządów, jednak uznał się za właściwy do udzielenia odpowiedzi na zadane mu pytania. Podkreślił m.in., odwołując się do wyroku TSUE z 2.03.2021 r. – odpowiedzi na pytanie prejudycjalne polskiego Naczelnego Sądu Administracyjnego zadane w związku ze sprawą *A.B. i in. przeciwko Krajowej Radzie Sądownictwa* – „że chociaż organizacja wymiaru sprawiedliwości w państwach członkowskich należy do kompetencji tych ostatnich, to przy wykonywaniu tej kompetencji państwa członkowskie mają obowiązek dotrzymywać zobowiązań wynikających dla nich z prawa Unii”.

W kluczowej dla postrzegania prawa unijnego przez polskie władze kwestii Trybunał przypomniał, że zgodnie z utrwalonym orzecznictwem skutki powiązane z zasadą pierwszeństwa prawa Unii wiążą wszystkie organy państwa członkowskiego, czemu nie mogą stanąć na przeszkodzie przepisy wewnętrzne dotyczące określenia właściwości sądów, w tym również przepisy rangi konstytucyjnej. Przypomniał także, że sądy krajowe są zobowiązane do dokonywania wykładni prawa krajowego w możliwie największym zakresie zgodnej z wymogami prawa Unii lub niestosowania, z mocy własnych uprawnień, każdego sprzecznego z nim przepisu prawa krajowego, który nie może stać się przedmiotem takiej wykładni zgodnej, Trybunał stwierdził, że w wypadku potwierdzenia naruszenia traktatu UE lub decyzji 2006/928 zasada pierwszeństwa prawa Unii wymaga, żeby sąd odsyłający odstąpił od stosowania rozpatrywanych przepisów, niezależnie od tego, czy są one rangi ustawowej czy konstytucyjnej”².

ETPCz o dublerach w Trybunale Konstytucyjnym

Europejski Trybunał Praw Człowieka, rozpatrując skargę wniesioną przez producenta trawy w rollkach i „zielonych dachów” Xero Flor, orzekł naruszenie artykułu 6 Europejskiej Konwencji Praw Człowieka ustanawiającego „prawo do sprawiedliwego i publicznego rozpatrzenia sprawy w rozsądnym terminie przez niezawisły i bezstronny sąd ustanowiony ustawą”. W trakcie prowadzonej przez lubuską firmę wieloletniej i wieloaspektowej sądowej batalii o rekompensatę za straty spowodowane przez dziką zwierzynę, w kwestii zgodności z Konstytucją przepisów Prawa Łowieckiego oraz rozporządzenia ministra środowiska wypowiedział się Trybunał Konstytucyjny. W składzie orzekającym zasiadał sędzia Mariusz Muszyński, wybrany w pierwszych dniach VIII kadencji Sejmu i zaprzysiężony przez prezydenta Andrzeja Dudę jako sędzia TK, choć to miejsce wcześniej zostało prawidłowo obsadzone przez Sejm VII kadencji (co zdążył jeszcze stwierdzić Trybunał przed zmianami dokonanymi po wyborach w 2015 r.).

Sędziowie w Strasburgu – w siedmioosobowym składzie – dokonali szczegółowej analizy prawnej zmienionych przepisów o wyborze członków Trybunału Konstytucyjnego oraz przebiegu procedury w grudniu 2015 roku³. Stwierdzili naruszenia przepisów Konstytucji i ustaw, złamanie prawa przez prezydenta RP poprzez nieprzyjęcie przysięgi od trzech prawidłowo wybranych sędziów i jej przyjęcie od osób wybranych z naruszeniem prawa na miejsca już zajęte oraz celowe działania w 2015 i 2016 r. prezydenta, Sejmu i rządu (odmowa publikacji wyroków TK) mające na celu zignorowanie orzeczeń Trybunału Konstytucyjnego. Wszystko to

stało w sprzeczności z celem przepisu Konwencji, wymagającego, by sąd został „ustanowiony ustawą”. A jest on, co przypomniał Trybunał, samą istotą zasady praworządności i jako taki odgrywa ważną rolę w utrzymaniu podziału władzy oraz niezależności sądownictwa, niezbędnych w społeczeństwie demokratycznym. Służy ochronie sądownictwa przed bezprawnymi wpływami zewnętrznymi.

W konsekwencji, ETPCz uznał, że „działania władzy ustawodawczej i wykonawczej stanowią bezprawny wpływ zewnętrzny na Trybunał Konstytucyjny. Trybunał [ETPCz] stwierdza, że naruszenia procedury wyboru trzech sędziów, w tym sędziego MM[uszyńskiego], do składu Trybunału Konstytucyjnego w dniu 2 grudnia 2015 r. miały taką wagę, że podważały zasadność procesu wyborczego i podważały samą istotę prawa do sądu ustanowionego ustawą”.

Jak zauważył rzecznik praw obywatelskich Adam Bodnar, który w postępowaniu występował w roli przyjaciela sądu (*amicus curiae*), naruszone zostało prawo skarżącej spółki do sądu. „Pozbawił jej tego prawa ktoś, kto nie jest sędzią. [...] wadliwe powołanie sędziego rzeczywiście powoduje wątpliwości co do prawidłowości orzeczenia wydanego w składzie z jego udziałem”⁴.

ETPCz o odwoływaniu prezesów polskich sądów

W 2017 roku Sejm uchwalił ustawę dającą ministrowi sprawiedliwości prawo do zmian prezesów i wiceprezesów sądów powszechnych i wojskowych. W stworzonym mu oknie możliwości, od sierpnia 2017 do kwietnia 2018 roku, Zbigniew Ziobro powołał na te stanowiska 244 osoby (na 373 sądy powszechne i 9 wojskowych). Stu pięćdziesięciu ośmiu prezesom i wiceprezesom przedwcześnie skrócił, bez podania powodów, kadencje. W tej grupie znaleźli się Alina Bojara i Mariusz Broda, wiceprezesi Sądu Okręgowego w Kielcach. Także w ich sprawie Trybunał w Strasburgu orzekł złamanie wspomnianego powyżej artykułu 6 Europejskiej Konwencji Praw Człowieka.

Sędziowie ETPCz (w siedmioosobowym składzie) zwrócili uwagę, że odwołani wiceprezesi byli pozbawieni możliwości skorzystania z jakiegokolwiek środka odwoławczego na drodze sądowej, a tylko taki dawałby gwarancję bezstronności; a także że skrócenie kadencji nie zostało w żaden sposób umotywowane. Zostało to określone jako niespełnienie „podstawowych wymogów równości proceduralnej” (*des exigences fondamentales de l'équité procédurale*)⁵. Ze względu na rolę sędziów w ochronie praw wynikających z Europejskiej Kadencji Praw Człowieka, Trybunał podkreślił też wagę gwarancji proceduralnych chroniących ich autonomię przed nieuprawnionym naciskiem⁶.

Odwołanym prezesom polecono wypłacić zadośćuczynienie finansowe. Co prawda wyrok jest nieprawomocny, jest jednak mało prawdopodobne, by Wielka Izba Trybunału (17 sędziów), nawet jeśli polski rząd się do niej odwoła, zajęła odmienne stanowisko. Z podobnymi skargami do Strasburga zwróciło się jeszcze, jak dotąd, ponad 20 sędziów.

Opr. Robert SMOLEŃ

Przypisy

¹ Wyrok Trybunału (Wielka Izba) z dnia 18 maja 2021 r. w sprawach połączonych C-83/19, C-127/19, C-195/19, C-291/19, C-355/19 i C-397/19, ECLI:EU:C:2021:393.

² Cyt. za dostępnym na stronie internetowej Trybunału streszczeniem wyroku dokonany przez sam TSUE.

³ Judgment, Case of Xero Flor w Polsce sp. z o.o. v. Poland, application No. 4907/18, pkt. 277-287 oraz konkluzja w pkt. 289-291.

⁴ <https://www.rpo.gov.pl/pl/content/etpcz-7-maja-sprawa-Xero-Flor-sposob-dzialania-polskiego-trybunalu-konstytucyjnego>, dostęp: 2.07.2021.

⁵ Arrêt du 29 juin 2021, affaire Broda et Bojara c. Pologne, 2021, 001-210693, pkt. 146.

⁶ Tamże, pkt. 147.

Z ROZWAŻAŃ FILOZOFA

Małgorzata B. JAKUBIAK

O granicach ludzkiej tożsamości

Zdarzyło się to w starożytnej Grecji na przełomie VI i V w. p.n.e. Skopas, wysokiej rangi urzędnik tesalski, wydawał wielką ucztę. Oprócz wielu dostojnych gości zaprosił na nią Symonidesa, słynnego wówczas poetę, znanego z pięknych form poetyckich i nazywanego „miodoustym”. Skopas zlecił mu wygłoszenie podczas przyjęcia poematu na swoją cześć.

Nieopatrznie, w poemacie znalazły się również fragmenty poświęcone bogom – Kastorowi i Polluksowi. Urażony tym Skopas, a może też i poszukujący pretekstu, aby dać upust swojemu skapstwu, oznajmił poecie z gniewem, iż ten dostanie tylko połowę wynagrodzenia, zaś po drugą niechaj zgłosi do wysławianych przez siebie bogów. W chwilę później, skonsternowanego takim obrotem sprawy poetę ktoś wywołał z budynku mówiąc, że jest proszony przez dwóch młodzieńców czekających na zewnątrz. Ledwie Symonides wyszedł, gmach zaczął walić się. Zginął pod gruzami zarówno Skopas, jak i wszyscy jego goście. Tak oto Kastor i Polluks – oni to bowiem byli tymi młodzieńcami – zemścili się na Skopasie.

Jak głosi opowieść, ciała wszystkich obecnych na uczcie były tak zmasakrowane, że rodziny, chcące ich pochować, nie mogły odróżnić jednych od drugich. Pomógł im w tym Symonides, który zapamiętał miejsce zajmowane przez każdego z gości. To zdarzenie doprowadziło go potem na myśl, że warunkiem dobrego zapamiętywania jest stworzenie odpowiedniego układu miejsc, do których przypisuje się rzeczy i osoby, słowa i pojęcia, które chce się zapamiętać.

Czy ta historia to tylko legenda? Trudno dziś powiedzieć, ile w tym prawdy. Została jednak opisana przez rzymskiego pisarza i retora Cyncero (106 r. p.n.e. – 43 r. p.n.e.) w dziele pt. *De oratore* (O mówcy), przytaczali ją także późniejsi pisarze – Kwintylijan i Pliniusz.

W każdym razie Symonides uchodzi za legendarnego wynalazcę sztuki doskonałego zapamiętywania, rozwijanego potem przez całe stulecia.

Dla nas, ludzi współczesnych, dysponujących już nie tylko papierem, ale coraz to nowymi technologiami pozwalającymi bez wielkiego wysiłku zapisywać teksty, obrazy, dźwięki, powielać i odtwarzać je w nieskończoność, doskonalenie wyćwiczona pamięć zaczyna odgrywać coraz to mniejszą rolę. Lecz w świecie starożytnym własna pamięć była najłatwiej dostępnym notatnikiem, nieodzownym dla wszystkich, którzy pełnili funkcje społeczne oraz wykonywali profesje wymagające wystąpień publicznych. Oratorstwu nadawano dużą rangę; nie do pomyślenia był mówca, który nieskładnie rozwijałby treść swojej wypowiedzi, zapominał co ma powiedzieć, powtarzał się, dukał, mamrotał. Nikt nie narzekał jednak na złą pamięć i kiepską dykcję, ale pracowano nad ich doskonaleniem.

W napisanym około 80 r. p.n.e. dziele pt. *Rhetorica ad Herennium* (Retoryka dla Herenniusza), którego autorstwo przypisywano początkowo Cynceronowi, ale później uznano, iż autorem jest nieznan, rzymski nauczyciel retoryki, można przeczytać, iż są dwa rodzaje

pamięci: **naturalna i sztuczna**. Z pamięcią naturalną przychodzi się na świat; pamięć sztuczna – to pamięć ulepszona, wzmocniona specjalnymi metodami. Potem przez następne stulecia pamięć „sztuczna” miała jeszcze wiele nazw: teatr pamięci, alfabet wizualny, pamięć słów, pamięć rzeczy, sztuka okrągła, sztuka kwadratowa, a także mnemotechnika.

Teatr pamięci kryje wiele tajemnic. Jak w teatrze można ujrzyć popisy aktorów, ale zajrzenie za kulisy czasu i poznanie metod jakimi osiągnano tak nadzwyczajne efekty – jest już dziś niemożliwe.

Znamy głównie efekty końcowe – wiemy, że Seneka starszy, nauczyciel retoryki, potrafił powtórzyć 2000 nazw z zachowaniem ich pierwotnego szyku, a gdy 200 jego uczniów, recytowało jeden po drugim kolejne wiersze poematu, powtarzał wszystkie w odwrotnej kolejności.

Augustyn z Tagasty, który początkowo był nauczycielem retoryki, by potem całkowicie oddać się filozofii chrześcijańskiej, a na koniec zostać świętym, wspominał w jednym z pism swego przyjaciela Sympliniusza, recytującego całego Wergiliusza, także od końca.

Jak była droga do tych wyczynów? Dokładnie nie wiadomo. Zachowane do naszych czasów traktaty o teatrze pamięci przeznaczone były dla czytelników już wtajemniczonych, znających podstawowe reguły i terminologię. Badaczom udało się poznać jedynie ogólne zasady. **Wiadomo, że sztuka nadzwyczajnego zapamiętywania powstała i rozwijała się dzięki zrozumieniu roli jaką odgrywa w tym procesie pewien ustalony porządek, a także wzrokowe przypisywanie rzeczy do miejsca. Znane jest zapewne wszystkim pojęcie „pamięci wzrokowej”.** Myśląc o pewnych przedmiotach „widzimy je” – oczyma wyobraźni – w określonych miejscach, w zestawieniu z innymi rzeczami. Jakże często po zrobieniu porządku nie można niczego znaleźć, bo naruszenie starego układu, choćby zasługiwał on na miano bałaganu, zburzyło długotrwałe powiązanie rzeczy i miejsc. Bywa także, że łatwiej przypomnieć sobie treści w przeczytanej książce, jeśli wiemy w jakim miejscu na stronie był dany fragment, u dołu, czy u góry strony, pod ilustracją czy nad nią. Poeta Symonides zapamiętał uczestników uczyty kolarząc ich z miejscami, w których siedzieli.

Podstawowa zasada sztuki pamięci było zatem stworzenie tzw. loci (łac. locus, loci – miejsce), czyli stałego układu miejsc. Budując w myślach *loci* często posługiwano się formami architektonicznymi, np. właśnie teatrem – a w jego pomieszczeniach, zakamarkach, na schodach, na miejscach dla widzów umieszczane były treści do zapamiętania. *Loci* tworzyć też mogło drzewo ze swymi konarami i gałęziami, drabina i jej kolejne stopnie, wyobrażenie sfer świata, tarczy z układem znaków zodiaku, czy inne formy przestrzenne.

Myślowemu budowaniu *loci* przypisywano ogromne znaczenie; raz stworzone na użytek mówcy miały mu służyć do końca życia. Zmieniał się materiał do zapamiętania, miejsca były te same. Niby szufladki, do których można wkładać coraz to nowe rzeczy, usuwając poprzednie.

Angielska badaczka sztuki pamięci, Frances A. Yates, w swojej książce (*Sztuka pamięci*, PIW, 1977) opowiedziała o pewnym profesorze uniwersyteckim, który budził podziw na spotkaniach towarzyskich, zapamiętując ogromne ilości nazw przedmiotów; powtarzał je w tej samej kolejności nawet po wielu godzinach. Nie ukrywał sposobu w jaki to robił. Otóż właśnie umieszczał je w różnych miejscach pokoju w którym przebywał, a potem, dokonując (w myślach) przeglądu tych miejsc, „odnajdywał je”.

No tak, ale przecież teatr pamięci służył nie tylko do zapamiętywania pojedynczych nazw, ale przede wszystkim złożonych treści. Trudno pojąć jak to czyniono. Wiadomo jedynie, że w poszczególnych *loci* nie umieszczano słów, lecz obrazy symbolizujące spore fragmenty przyszłej wypowiedzi. Jeden z bardzo nielicznych przykładów takiego postępowania znajduje się właśnie we wspomnianych już traktacie *Rhetorica ad Herennium*. Przykład dotyczy oczywiście słów łacińskich, ale warto poznać go, bo jednak nieco wyjaśnia on ówczesne metody poszerzania ludzkiej pamięci.

Przypuśćmy, że trzeba zapamiętać linijkę wiersza brzmiąca: *iam domum Itonem reges Atridae parant* (już powrót do domu szykują królewscy synowie Atreusa). Aby zapamiętać to zdanie, autor proponuje w pierwszym locum umieścić postać Domicjusza napastowanego i bitego przez członków rodziny Marcii Reges. Dla podniesienia stopnia emocji należy wyobrazić sobie jak Domicjusz wznosi ręce ku niebu, albowiem zdarzenia budzące emocje lepiej zapamiętujemy. Imię „Domicius” i nazwisko „Reges” ma, przez podobieństwo brzmienia, przypominać słowa linijki wiersza „...domum Itonem reges” a więc posłużono się skojarzeniem na zasadzie podobieństwa dźwięków. Historia Domicjusza, pochodzącego z plebejskiego rodu, napastowanego i bitego przez przedstawicieli arystokratycznego rodu Marcjuszów, była w tamtych czasach znana i bulwersująca, toteż (choć swą treścią nie miała nic wspólnego z treścią do zapamiętania) nadawała się do ożywienia pamięci. Trzeba przyznać, że nadal trudno jest pojąć jak w taki sposób umiano zapamiętać setki, nawet tysiące linijek tekstu. Jednak ta żmudna początkowo metoda, ćwicząc umysł i pamięć, niewątpliwie sprawiała, że z czasem zapamiętywanie stawało się coraz łatwiejsze i szybsze.

W starorzymskiej mnemotechnice obrazy, sceny naprowadzające na tekst przeznaczony do wygłoszenia były wymyślane każdorazowo. Natomiast Grecy opracowali ponoć stałe symbole, z których każdy odpowiadał całym sekwencjom tekstu. Na podobnym pomysłe opiera się stenografia.

Sens historii nie polega tylko na znajomości samych faktów zaistniałych w przeszłości, ale na wnioskach, które można wyprowadzić na ich podstawie. Czymże byłaby ta opowieść o sztuce zapamiętywania, uprawianej przed setkami lat, gdyby pozbawić ją wszelkich refleksji? Jeszcze jedną ciekawostką do poczytania w wolnej chwili. A przecież jest ona świadectwem o nieprawdopodobnych, wydawałoby się, możliwościach LUDZKIEGO MÓZGU.

Możliwościach zapomnianych, bo – jak już wspomniałam – z pamięci korzysta się coraz mniej.

W ciągu ostatnich lat bardzo wzrosła liczba osób cierpiących na zaburzenia pamięci. Owszem, ich przyczyną bywają urazy, procesy chorobowe, neurodegeneracja. Ale głównie niechęć do „obciążania pamięci”, skoro jest komputer, smartfon etc...

Mózg – pomimo rozwijającej się ciągle nauki jest zagadką, najmniej poznany i zarazem najbardziej skomplikowanym organem ciała. Pamięć – jako jedna z jego funkcji – ma także wiele tajemnic. Jednak wiadomo już, że na sekundę może docierać do mózgu około 100 megabajtów informacji. Wiadomo także, że bilion neuronów tworzy niezliczone ilości połączeń synaptycznych, w której to niesamowitej sieci działa ludzka pamięć. Działa na zasadzie skojarzeń, a to oznacza, że powstawanie nowych wspomnień i przywoływanie starych przebiega w powiązaniu z pewnymi sytuacjami, miejscami, z posiadaną już wiedzą – parę tysięcy lat temu twórcy i nauczyciele mnemotechniki wiedzieli już o tym.

Jeszcze do niedawna sądzono, że neurony w mózgu powstają tylko w dzieciństwie. Ostatnie badania wykazały, że proces tworzenia się neuronów powstaje przez całe życie. A to oznacza, że zdolności mózgu absolutnie nie muszą pogarszać się z upływem lat. Lecz jest pewien warunek – nie wolno pozwolić przejść mózgowi na emeryturę i spocząć na laurach. Sprawdza się stare powiedzenie: organ nieużywany zanika. Nieustanna praca mózgu – poprzez ciągłą ciekawość świata, ciągle wykonywanie nabytych umiejętności i zdobywanie nowych, czyli poprzez ciągłą stymulację rozwoju neuronów, pozwala utrzymać sprawność myślenia i pamiętania niezależnie od upływu lat.

Starożytni używali dla określenia sztuki pamięci także nazwy: **pamięć sztuczna**. Ale tak naprawdę sztuczna pamięć powstaje dopiero w naszych czasach jako rezultat połą-

czenia wiedzy medycznej z inżynierią. Uczeni pracują – i są już rezultaty – nad implantem pamięci. Miałyby to pomóc osobom chorym na Alzheimera oraz inne choroby powodujące uszkodzenia w obrębie mózgu. Badania idą także w kierunku „wyłączania” jednych wspomnień i „wstawiania” innych. To z kolei miałyby być przydatne dla ludzi dotkniętych ciężkimi formami psychozy, depresji, traum, opornych w procesie leczenia psychiatrycznego i psychologicznego.

Pośród tych wszystkich urządzeń, wspomagających różne niedobory człowieka, idea implantu pamięci zajmuje szczególne miejsce. Pamięć, ta prawdziwa, naturalna, nie jest tylko zapisem faktów, rzeczy, zdarzeń, także przeżyć, doznań, wrażeń i emocji, które można by dowolnie uzupełniać, wymieniać, dodawać lub redukować bez dalekosieźnych, a nawet nieobliczalnych skutków. **To pamięć daje poczucie własnej tożsamości, w dużej mierze wpływa na to, jakim jest się człowiekiem,** dostarczając materiału do skojarzeń i co ważne – uwarunkowanego nimi – traktowania zjawisk nowo poznanych – do takich a nie innych zachowań, do podejmowania wyborów i decyzji.

Każdy wynalazek może być wykorzystany na różne sposoby, dobre i złe, twórcze i niszczące. Implanty pamięci dla ludzi, których własna pamięć przestała funkcjonować, są szansą na powrót do normalnego życia i raczej nie powinny budzić wątpliwości etycznych. Jednak na postępy w badaniach czekają także i ci, którzy mają wobec czipów pamięciowych zupełnie inne zamiary. Żądza władzy i podporządkowania sobie innych to nic nowego. Zmiany, jakich można dokonać w osobowości i zachowaniach człowieka (ludzi), wpływając na zapamiętane przez nich treści, pozwolą na manipulowanie nimi bez stosowania widocznej przemocy. Zastąpienie osobiście zdobytych treści, wspomnień, wiedzy, a także faktycznych zdarzeń implantem o spreparowanej zawartości pozwalałoby utworzyć osobnika, a nawet armie osobników przygotowanych do określonych celów, do zadań specjalnych, osobników posłusznych, lojalnych, a nawet zajadłych w zakresie zaprogramowanych u nich poglądów. Przecież wspomnienia o „dobrych i złych” ludziach (mówiąc w uproszczeniu) i takich zdarzeniach i sytuacjach są elementarnym, podświadomym wyznacznikiem przekonania o tym kogo i co warto popierać, a przeciwko komu i czemu walczyć.

Na razie, w powszechnym wydaniu, tak silnie odmienionych ludzi-cyborgów możemy zobaczyć w filmach z dziedziny fantastyki naukowej. Jednak wiadomo, że badania i eksperymenty w tej dziedzinie prowadzą różne kraje. Na jakim są one etapie? Informacje nie są jednoznaczne. Jedni piszą zatem, że już za kilka lat będzie można wszczepić implanty pamięci do mózgu, a za lat 20 będzie można masowo „produkować” ludzi-cyborgów, wykonujących bez żadnych oporów wyznaczone im zadania. Są jednak wśród uczonych i tacy, którzy twierdzą, że ze względu na skomplikowane, z bardzo wieloma niewiadomymi, funkcjonowanie mózgu oraz jego powiązanie z resztą organizmu – pełne jeszcze tajemnic, realizacja opisanych zamiarów nie jest w ogóle niczym pewnym.

Czy rzeczywiście lepsze jutro dla chorych ludzi z utratą pamięci będzie szło w parze z koszmarem robotycznej cywilizacji? No cóż, jeśli nie brać pod uwagę wróżek to przyszłość najlepiej poznaje dopiero wtedy, gdy staje się ona już teraźniejszością.

Wróćmy jednak do spraw ludzkiej pamięci, tej naturalnej i normalnej, potrzebnej na co dzień w funkcjonowaniu człowieka. Informacje o badaniach na temat implantów pamięci, które pojawiają się w mediach, wywołują komentarze, a wśród nich jest spora ilość wypowiedzi pełnych entuzjazmu wobec nadchodzącej „świetlanej przyszłości”, kiedy to zamiast zdobywać wiedzę i różne umiejętności można będzie je – w sensie dosłownym – włożyć do głowy.

Takie marzenia są jeszcze mocno na wyrost, ale już w tej chwili jest na świecie pewna liczba osób, która korzysta z czipów, w nieco skromniejszym zakresie, np. wprowadzonych pod skórę, które bynajmniej nie służą uzupełnianiu braków, ale zapewnieniu sobie extra zdolności i możliwości – poszerzeniu zdolności zmysłów, aby widzieć, słyszeć i wyczuwać

w otoczeniu więcej niż normalny człowiek i zasmakować, chociaż w ograniczonej próbie – bycia „cyborgiem o nadludzkich możliwościach”. Nie przeraża ich ból i często komplikacje, albowiem niektórzy z tych zabiegów (np. wkładanie małych czipów pod naciętą skórę) robione są samodzielnie i w domowych warunkach.

Przykład ten wprawdzie nie dotyczy pamięci, ale nasuwa przypuszczenie, że gdyby zaszła możliwość skorzystania z gotowych „wstawek” do mózgu modyfikującymi jego możliwości znajdzie się niemała liczba osób, która ochoczo z tego skorzysta, nie wiedząc do końca kim stanie się w wyniku tego zabiegu.

Otwierające się przed człowiekiem nowe przestrzenie, nowe możliwości, mimo ryzyka związanego z ich poznawaniem i wykorzystaniem, zawsze pociągały. Nie da się zaprzeczyć, że taka była droga ludzkiego poznania, wiodąca zarówno pośród sukcesów, jak i porażek, a nawet katastrof. **Od zarania dziejów – towarzyszyło także ludziom marzenie, aby ułatwić sobie trud życia i pracy.** To przecież wyrażają baśnie, w których stoliczki same nakrywają się, a machnięcie różdżką usuwa wszelkie trudności i załatwia stan pożądaný. Do wygody ludzie przyzwyczajają się bardzo szybko, więc jest już oczywiste, że w bardzo wielu przypadkach zamiast wylewać poty, wciskamy przyciski i przesuwamy dźwignie.

Naturalną konsekwencją wydaje więc być pragnienie, aby własne ciało i umysł kształtować i poprawiać tak samo bez wysiłku, o ile pojawi się taka możliwość. Pragnienie, aby być...trochę jak samochód wstawiony do warsztatu, biernie czekający na naprawę i udoskonalenia, w którym technik wymieni zużyte części, inne zreperuje, coś doda, a coś wyjmie, czegoś doleje, coś nasmaruje i gotowe.

Lecz jest istotna różnica między, np. grubasem, który zamiast ograniczyć ilość jedzenia i zażywać ruchu woli poddać się zabiegowi odsysania tłuszczu (choć i ten zabieg może spowodować złe skutki – zdarzały się nawet przypadki śmierci), a człowiekiem, który bez potrzeby medycznej pozwoli „modelować” swój mózg, swoją pamięć, swoją osobowość.

Nie wiemy jak zachowaliby się starożytni, gdyby zamiast lat ciężkiej pracy nad ćwiczeniem własnej pamięci mogliby skorzystać z gotowych implantów z zapisem pożądaných treści. Może wcale nie byłiby tacy pracowici? W każdym razie zostawili potomnym wiedzę o fenomenalnych możliwościach ludzkiej pamięci.

Rozmyślając o tych wszystkich procesach zachodzących w świecie, o tym, że być może stoimy już u progu możliwości tworzenia istot ludzkich tak zmodyfikowanych, że nie będzie wiadomo, czy jeszcze są ludźmi czy już robotami, może warto by przypomnieć i uprzytomnić sobie od nowa jak wspaniałym, biologicznie naturalnym komputerem jest ludzki mózg.

Autorka tekstu, dr Małgorzata B. JAKUBIAK jest filozofem, uczennicą Tadeusza Kotarbińskiego, któremu poświęciła szereg publikacji.

FUNDUSZ WSPARCIA TRWA

W mijających dwóch miesiącach FUNDUSZ WSPARCIA „RES HUMANA” wzbogaciły wpłaty, które dokonali bliscy nam i niezawodni Przyjaciele naszego czasopisma. Oto oni:

Pan red. Eugeniusz GUZ z Warszawy

Pani inż. Zofia LUKAŃKO z Gorzowa Wlkp.

Pan Hanryk MAŁYSA z Warszawy

Pan prof. Jan TRUSZCZYŃSKI z Warszawy

Serdecznie dziękujemy
Redakcja „RES HUMANA”

Janusz TERMER

Zawiść i miłość: Stanisław Lem o Umberto Eco*

W trzecim tomie zbioru esejów filozoficznych i szkiców literackich Stanisława Lema (*Filozofia przypadku*, 1989) znaleźć można obszerną analizę głośnego prozatorskiego bestselleru światowego sprzed parunastu lat – *Imienia róży* Umberto Eco. Wydaje się, że nie tylko dla miłośników twórczości obu tych pisarzy szkic Lema o Eco będzie swego rodzaju zaskoczeniem. Cóż bowiem ten wielki polski pisarz, autor znanych w świecie książek futurologicznych z dziedziny science fiction, odnalazł intrygującego dzieła młodszego kolegi – włoskiego pisarza, w utworze mówiącym wszak nie o przyszłości a o przeszłości, że poświęcił mu aż tak wiele uwagi?

Odpowiedź jest niby prosta i pada nawet wprost na początku szkicu Stanisława Lema, który powiada: „...jego (tzn. Eco) problemowe zainteresowania są bliskie moim, bo są kierowane na węzłowe kwestie współczesności, tyle że z przeciwnych stron skali czasowej. Ale chyba nie to jest najbardziej zaskakujące. Nie to mianowicie, co jest już dzisiaj sądem właściwie powszechnym, że wybitni pisarze – niezależnie od tego czy piszą o przyszłości czy przeszłości – mają zawsze na uwadze przede wszystkim czas teraźniejszy. **Każda powieść prawdziwa – pisze Lem – w głębokim sensie jest powieścią o czasie, w którym ją napisano, a nie o czasie, w którym została skierowana autorską decyzją.**

Nie zaskakuje też tak bardzo fakt, że ta Lemowa interpretacja *Imienia róży*, akcentująca przede wszystkim to, iż powieść ta – obrócona formalnie w stronę średniowiecznej młodości myśli europejskiej – jest wyrazem niepokoju o to, że owa myśl, humanistyczna, rozumna, „życzliwa ludziom” (symbolizowana tutaj przez franciszkanina Baskerville’a i jego scjentystyczne zapędy), kryć w sobie może już w samym zarodku, niedostrzegalne zrazu pułapki i niespodzianki płynące z cywilizacyjnego i technologicznego rozwoju świata; z jego głównym niebezpieczeństwem – groźbą samozagłady ludzkości na czele. Wszak nie da się zaprzeczyć, że ten narastający wielki problem wieku naszego i następnych (jeśli nastąpią?!) istnieje i jawi się coraz bardziej wyraźnie nawet gołym okiem...

Zaskakujące natomiast jest pojawiające się w tym szkicu Lema słowo „zawiść”. Oczywiście ma ono w kontekście całości wymowę mocno żartobliwą, lecz fakt pozostaje faktem: sławny na cały świat pisarz, autor *Kongresu futurologicznego* i *Solaris* oraz innych licznych bestsellerów SF, nie waha się przed publicznym

użyciem słowa „zawiść” w stosunku do książki innego autora, która sprawiła mu tyle nieskrywanej satysfakcji czytelniczej.

Stąd więc słowo „zawiść” w tytule tego tekstu, ale co wobec tego z „miłością”?

Stanisław Lem badając literaturę „w świetle empirii”, jak brzmi podtytuł jego dzieła, będący główną dyrektywą poznać jego analiz krytycznych, nie mógł, omawiając *Imię róży*, pominąć występującego w niej wątku miłosnego (erotycznego). Niby jest on tutaj czymś w rodzaju marginalnego ozdobnika (jak mogłoby się to wydawać powierzchownemu czytelnikowi), to efektem jego dociekliwości jest zwrócenie uwagi na ukryte znaczenia tegoż właśnie wątku – w kontekście powieściowej i filozoficznej koncepcji *Imienia róży*. Chodzi tu rzecz jasna o ukazywanie przez Eco libidalnych korzeni mistycznych wzlotów średniowiecznej religijności (a może nawet i nie tylko średniowiecznej). I choć nie jest to wprawdzie – podkreśla Lem – odkrycie samego Eco, bo korzysta on (i nie kryje tego) z późniejszych – nie tylko Freudowskich – tradycji psychoanalitycznych, ale robi to niezwykle obrazowo, subtelnie i dyskretnie zarazem, nie nazywając rzeczy po imieniu. Równocześnie jednak tak, iż czytelnik nie ma najmniejszych wątpliwości, że ma tu do czynienia z jakże zręcznie przez autora i bohaterów utworu zakamuflowanymi sublimacjami „nieczystych popędów” – skrywanych pod postacią aktów strzelistych wiary niektórych postaci powieści, obok opisów rzeczywistych „zdrożności”, czyli owych grzesznych żądz, jakimi np. karmi młodego bohatera i narratora powieści Eco stary mnich Ubertino, przy okazji kładąc mu rękę na kolanie, to na karku i czule przyciągając do siebie.

Jest też w tej powieści Eco także otwarty, wcale niespecjalnie nawet skrywany, opis miłości zmysłowej i fizycznej, choć podszytej zadrąmi „grzeszności”, jakiej doznaje Adson w zakonnej kuchni z piękną wiejską dziewczyną, ściągniętą tu podstępem przez występnego klasztornego klucznika. Ale i tutaj, trafnie zauważa Lem, miłość ta wyraża się w jego umyśle głównie niezmysłowymi parafrazami i metaforami sięgającymi hymnicznie biblijnych psalmów.

Że nie jest to trop mylny, wskazuje choćby poniższy cytat z powieści Eco. Oto narrator *Imienia róży* po wielu latach od owej miłosnej nocy spędzonej w klasztorze z wiejską dziewczynką, tak to wspomina: „Teraz, kiedy dłonią drżącą (i nie wiem, czy z odrazy do grzechu, o którym powiadam, czy przez grzeszną tęsknotę za wydarzeniem, które wspominam) pisząc te linijki, spostrzegam, że użyłem, by opisać moje szpetne zachowanie w owej chwili, takich samych słów, jakich niewiele stron wcześniej potrzebowałem, by opisać ogień, który trawił męczeńskie ciało braciszka Michała. I nie przypadkiem moja dłoń, posłuszna służka duszy, te same wyrażenia wystylizowała dla dwóch przeżyć tak do siebie nie przystających, gdyż niechybnie w ten sam sposób przeżywałem je wtenczas, doznając ich, jak i niedawno, kiedy próbowałem przywrócić im życie na tym pergaminie.”

Ciekawy jest tu komentarz Stanisława Lema do tych duchowych rozterek Adsona, który – z woli autorskiej oczywiście – nie potrafi ukryć swojego zdumienia, że doświadczenia i przeżycia tak diametralnie różne mogą podlegać... tożsamym „obrotom mowy”. Jest to dla autora *Filozofii przypadku* jeden z koronnych dowodów na to, że historyczna powieść Eco jest w gruncie rzeczy jak „każda prawdziwa powieść”, utworem całkowicie współczesnym: Nikt nie mógł sobie w XIV

wieku – pisze Lem – pozwolić na publiczne utożsamianie mąk, przeżywanych przez świętego ginącego za wiarę, heretyka palonego żywym ogniem za pakt z szatanem, z rozkoszą zakonnego braciszka doznającego pierwszy raz stosunku z kobietą i świętobliwego starca rozmodlonego pod statua Najświętszej Marii Panny. Ale też nikt nie może, choćby był sto razy ekspertem w mediewistyce, przysiąc, że myśl o wspólnym mianowniku doznaniowym takich skrajnych stanów nie powstała wtedy ani razu w żadnej głowie.

Istotnie, ale to nie znaczy wcale – mówi całym swym szkicem Lem – że rzecz nie nazwana nie istnieje, co zgodne jest zresztą z antynominalistycznym stanowiskiem zarówno autora *Filozofii przypadku*, jak i autora *Imienia róży*. Ten ostatni mówi o tym zupełnie otwarcie i wprost w swych dopiskach do *Imienia róży*, ogłoszonych po sukcesie wydawniczym pierwszego wydania tego utworu. „Od samego początku chciałem opowiedzieć całą historię (wraz z jej tajemnicami), wydarzeniami politycznymi i teologicznymi, jej dwuznacznościami) głosem kogoś kto przeżywa wypadki i rejestruje je z fotograficzną wiernością młodzieniaszka, ale ich nie pojmuje (i nie pojmuje do głębi nawet jako starzec, tak że w końcu wybiera ucieczkę w boską nicność, a nie tego przecież nauczył go mistrz).”

Modelem literackim dla tego typu postaci narratora, jak pisze Umberto Eco w innym mi ejscu swych Dopisków, był tu Serenus Zeitblom z *Doktora Faustusa* Tomasza Manna. Ów prozatorski model wielopiętrowej gry narracyjnej (dodajmy, że był to ulubiony chwyt pisarski Josepha Conrada, skąd trafił do XX-wiecznej literatury) stosuje Umberto Eco konsekwentnie i z wielkim – by tak rzec – ukontentowaniem wewnętrznym, bawiąc się stylami, igrając z czasem i poetyckimi konwencjami oraz – często – samymi słowami – wkładając (choć nie bez wielu istotnych powodów) w usta swych bohaterów nie tylko cytaty z Biblii czy ze średniowiecznych tekstów metafizycznych, ale także i kryptocytaty z filozofów współczesnych (np. Ludwiga Wittgensteina), lecz tak, że brzmią one rzeczywiście jak słowa „z epoki”; nie popadają przy tym w „erudycyjną ciężkostrawność” czy też czysto inkrustacyjną, efektownie stylistyczną ornamentykę: Powieść napisał ateista – pisze Lem – znający się na historii Kościoła jak mało który teolog. Światopogląd autora nie przejawia się nigdzie wprost – wygłasza go przedstawiony świat powieści. Perfidny Eco był tak konsekwentny w przyjętym raz kanonie narracyjnym.

Odnosi się to także i do wątku miłosnego tej powieści Eco: mamy tu do czynienia z tymi samymi co i w innych partiach jego powieści elementami gry, zabawy, głębszej ironii i kostycznego nieco humoru, przy całkowicie „poważnym” i „nowoczesnym” podejściu do tematu. Umberto Eco w swym, nie mniej ciekawym i znaczącym niż sam tekst powieści, autokomentarzu do *Imienia róży* tak to charakteryzuje i komentuje: „Czytając recenzje spostrzegłem, że jest to jeden z tych aspektów powieści, który mniejsze wrażenie wywarł na czytelnikach wykształconych, albo przynajmniej, powiedziałbym, że nikt lub prawie nikt go nie podjął. Ale zadaję sobie teraz pytanie, czy nie był to jeden z tych elementów, które zdecydowały o poczytności powieści wśród czytelników mniej wybrednych. Zidentyfikowali się z naiwnym narratorem i czuli się usprawiedliwieni, kiedy czegoś nie pojmowali. Przywróciłem im lęk przed sprawami płci, nieznanymi językami, złożonością ludzkiej myśli, tajemnicami z życia politycznego... To wszystko

rozumiem teraz *après coup*, lecz być może pisząc przekazałem Adsonowi wiele z moich lęków młodzieńczych, a z pewnością jeśli chodzi o jego porywy miłosne (choć zawsze z gwarancją, że zawsze mogą działać przez osobę podstawioną: Adson przeżywa swoje uniesienia miłosne wyłącznie poprzez słowa, jakimi o miłości mówią doktorowie Kościoła). Sztuka jest ucieczką od wzruszeń osobistych, tego nauczył mnie i Joyce i Eliot”.

Tyle o miłości u Umberto Eco. Ostatnie słowo niech jednak należy do „zawistnika” – Stanisława Lema, który tak oto kończy swe rozważania o *Imieniu róży*: „Zawiść, do jakiej się przyznałem, to świadomość sytuacji autora, który zamierzony przez siebie świat musi budować na własną rękę, skoro za więź obserwacyjną wziął sobie przyszłość. Tak na przykład moja ostatnia powieść *«Wizja lokalna»* jest nieporównanie uboższa od *«Imienia róży»*, co do ilości wprowadzonych elementów, konstytutywnych dla konstruowanego w niej świata, oraz co do ilości gier w tym świecie uprawianych. Wynika to trywialnie z sytuacji, w której autor albo ma, jak Umberto Eco, do dyspozycji całe biblioteki autentyczne, albo, jak ja, może, a raczej musi, sobie sporządzić biblioteki przez siebie wymyślone. Ponadto, jak wspomniałem, sama sprawdzalność przedstawionego świata uwierzytelnia utwór osadzony w przeszłości i pozwala czytelnikowi spojrzeć na ten świat „z góry”, bo z wiedzy obiegowej, jaką każdy dziś dysponuje”.

Efekt, jaki wynika z tego niespodziewanego zetknięcia się dwu wielkich osobowości pisarskich naszej współczesności, tej demonstrowanej jawnie fascynacji twórczością innego wybitnego pisarza, ma dla piszącego te słowa wymiar doniosły i napawający otuchą. Liczne akty rezygnacji z pasji poznawczych w sztuce, dokonywane i ochoczo prezentowane przez niektórych tzw. postmodernistycznych, często nawet wybitnych przedstawicieli kultury współczesnej – jak widać na tym przykładzie – nie mają jeszcze, na szczęście – charakteru totalnego... Są bowiem jeszcze tacy artyści, którym chce się chcieć być „ostatnimi”, byś może, racjonalistami w wielkim stylu, twórcami dążącymi do źródeł i korzeni oraz przewycięzania istotnie narastającego w naszym stuleciu poczucia bezsily jednostki wobec otaczającego ją irracjonalnego chaosu i zagrożeń wynikających stąd wprost poniekąd – o paradoksie – z samego rozwoju cywilizacji i myśli ludzkiej.

I jeszcze jeden „drobiazg” określający podobny stosunek obu tych pisarzy do problemów wynikających z wynalazku, ale i zagrożeń płynących z wielkiego w XXI wieku upowszechnienia się dostępu do sieci cyberprzestrzeni i mediów społecznościowych. Oto Stanisław Lem wspominał był parokrotnie w swych szkicach, iż „nie zdawał sobie sprawy z tego, póki sam nie zaczął posługiwać się internetem, jak wielu «idiotów» jest na świecie: dzisiaj każdy, gdy niezależnie od kompetencji jakie posiada, może uważać się za „eksperta, głosiciela i posiadacza prawdy”! W czym wtórował mu Umberto Eco: „Sieć nie wymyśliła idiotów, po prostu dała im taką samą publiczność, jaką mają laureaci Nagrody Nobla”.

Dobrze przeto (dla nas czytelników), że istnieją jeszcze w świecie literatury takie rzeczy, jak „zawiść” (Lema) i „miłość” (Eco).

* Z okazji setnej rocznicy urodzin Stanisława Lema i piątej rocznicy śmierci Umberto Eco.

Autor tekstu, Janusz TERMER, jest znanym krytykiem literackim, autorem wielu książek, także wydanych w Bibliotece „RES HUMANA” szkiców *Myślenie literaturą*.

STREFA PROZY



Zdzisław RACZYŃSKI

Msza

Poniżej drukujemy fragment najnowszej książki Zdzisława RACZYŃSKIEGO zatytułowanej *Mak na powiekach*, która ukaże się niebawem w ramach BIBLIOTEKI „RES HUMANA”. Tytuł drukowanego fragmentu i dokonane skróty pochodzą od redakcji.

Redakcja „RES HUMANA”

Wokół małego ogniska rozłożyliśmy wyniesione z namiotów kocy. Kto siedzi, kto leży. Romeo i Miras przygrywają na gitarach do piosenek, które śpiewamy wszyscy. Jak by nie było, klasa artystyczna...

Krążą butelki wina Bikaver. Pijemy je z aluminiowych kubków. Pochmurna, ale bezdeszczowa noc opatula zewsząd ciepłą, gęstą oćmą. Pod niebem tak niskim, że jeśli by nie kolumny drzew, na których się wspiera, opadłoby na ziemię, ścierając granice między sferami, między prawdą i wyobrażeniem, jesteśmy teraz jedynymi żywymi istotami, a małe ognisko samotnym światłem na całej ziemi. Płomienie obejmują kolejne szczapy, przetrawiając je w żarzące się główne, potem w popiół, wyświetlają z ciemności nasze twarze. Pierwotna, magnetyczna moc ognia spaja nas w krąg tajemnego bractwa.

Edward i Dżerry toczą debatę o personalizmie francuskim. Podejrzewam, że nikt z nas poza nimi nie czytał Mouniera i Maritaina, ale słowa „wolność”, „niezbywalna godność każdej osoby”, „odpowiedzialność” wciągają wszystkich w dyskusję. Kto wypowiada słowo „grzech” i zaczynają się rozważania o grzechu i odkupieniu. Rozmowa przechodzi w wylizanie wzajemnych przewinień, a potem w prawie powszechną ekspiację i przeprosiny. Edward i Dżerry przysłuchują się ze zdziwieniem, zdegustowani tym, jak strywializowaliśmy poważny temat. Dorota, która piła najmniej, prycha ironicznie: „Popiliście się! Kilkoma butelkami wina! Jeszcze sobie padnijcie w ramiona, proście o wybaczenie i przysięgnijcie dozgonną pamięć i miłość. Grzesznicy się znaleźli! Grzechy to my jeszcze popełnimy”....

* * *

„Spowiadam się wam, bracia i siostry”... Teraz mamy już co wyznać.

Dzisiaj niebo jest odległe, niewyobrażalnie wyższe niż sklepienia najwyższych kościołów, w jakich grałem. Dotknięta spojrzeniem kopuła ucieka przed wzrokiem, zapada się w głąb siebie. Chmury zaciemniają przestrzeń nad lasem od strony wsi. Najwidocz-

niej zbiera się na burzę, stąd ta duchota od rana.

- Tutaj, proszę, czytaj - misjonarz podaje Włodkowi Biblię, wskazuje palcem tekst i - powiada: - Czytanie z Księgi Rodzaju.

- Mężczyzna zbliżył się do swej żony Ewy. A ona poczęła i urodziła Kaina, i rzekła: „Otrzymałam mężczyznę od Pana. A potem urodziła jeszcze Abla, jego brata...”

Włodek czyta donośnym, dźwięcznym głosem. Wyobrażam go sobie na scenie sali koncertowej w Mieście, jak zapowiada występ jakiegoś zespołu lub literata czy też zagaja debatę polityczną. Myślę, że jest przekonujący w każdej roli.

Stoimy półkręgiem tuż obok siebie, dotykając się ramionami, najwyżej dwa metry od księdza i zaimprovizowanego kamiennego ołtarza. Edward w zamyśleniu patrzy przed siebie, na nas, na leśną przesiekę, zaniedbany cmentarz. Pozostaje wciąż naszym przyjacielem.... Nie wynosi go ponad nas ambona ani nie odgradza konfesjonał. A jednak przez te dziesięciolecia wyrósł między nami dystans, jakby mój przyjaciel posiadał wiedzę lub tajemnicę nam niepojętą, a biała szata z jaskrawym paskiem materii na szyi przenosiła go w światy dla mnie niedostępne.

Po Starym Testamencie Włodek czyta fragment Ewangelii według Świętego Łukasza.

- „Dla Elżbiety nadszedł czas rozwiązania i urodziła syna. Gdy jej sąsiedzi i krewni usłyszeli, że Pan okazał tak wielkie miłosierdzie nad nią, cieszyli się z nią razem”.

Pociągła twarz Edwarda promieniuje spokojem i jakimś nieobjaśnialnym uduchowieniem. Jakby się świecił od wewnątrz. Jeśli to wiara, zazdroścę mu jej szczerze.

- Drodzy przyjaciele - zwraca się do nas - siądźcie, proszę. Nie chcę nadużywać swojej funkcji celebransa, ale że niezręcznie przeszkadza duchownemu, więc mogę spokojnie pomówić z wami bez obawy, że mi będziecie przerywać. A to może trochę potrwać.

Dziewczyny zajmują miejsca na ławce. Jasiak z Michałem na kamieniach. Pozostali bezpośrednio na trawie. Rabin się rozgląda, zanim wreszcie przysiadła ostrożnie na

brzeżku ławki. Dziennikarz z „Ha-Arec” ma zamiar sfotografować tę dziwną mszę i nas, którzyśmy się rozsiedli na trawie niczym podstarzali pielgrzymi odpoczywający po kolejnym dniu męczącej wędrówki. Szybkie spojrzenie, rzucone przez rabina, odwołuje go od tego pomysłu.

- Słowo „homilia”, którą będę głosić, pochodzi z greckiego „homilein”, co oznacza - rozmawiać jak przyjaciel z przyjacielem. Niech zatem będzie to rozmowa przyjaciół, którzy odnaleźli się po latach. Dzisiaj mamy szczególnie, wielki dzień...

- Oczywiście! Bo to nasze spotkanie - komentuje głośno Miras. Bezpośredni i szczery, niekiedy szorstko obcesowy, nie jest aż tak niepoohamowany w okazywaniu emocji, aby przerywać księdzu kazanie. Miras testuje kolegę, czy zapowiadając homilię jako dialog, rzeczywiście zaprosił nas do rozmowy, czy tylko podmienił sens słów, używając jednego z wielu chwytów erystycznych, których bez wątpienia uczą w seminariach i uniwersytetach katolickich.

- Masz rację, Miras. Naturalnie nasze spotkanie jest dla nas wyjątkowe - Edward pozostaje wierny formule dialogu. - Zwłaszcza że spotykamy się w dniu, w którym obchodzimy uroczystość narodzenia Świętego Jana Chrzciciela. Jeśli to przypadek, to bardzo szczęśliwy. A jeśli to dany nam znak, odczytajmy go. Pamiętajcie, chociażby z lekcji religii, coś o Janie Chrzcicielu?

- Ochrcił Chrystusa. I został ścięty na rozkaz Heroda. - Michał popisuje się znajomością Biblii.

- Tak przynajmniej głoszą ewangelie Świętego Mateusza i Świętego Marka - przytakuje misjonarz. - I taki obraz proroka, który chrzci Mesjasza wodą Jordanu, zapisuje się w masowej wyobraźni chrześcijan. I obraz drugi, ugruntowany przez wielkie malarstwo Cranacha i Caravaggia - ucięta głowa męczennika, którą Salome niesie mściwej Herodiadzie. Dziewczyna, nieświadoma, jak okrutną i bezmyślną popełnia zbrodnię, daje posłuch słowom swojej matki, która żąda: Daj mi tu na misie głowę Jana Chrzciciela.

Słaby i oślepiiony namiętnością stary król Herod spełnia żądanie.

- Niezależnie od tego, na ile zdarzenia opisane w Biblii pozostają w zgodzie z prawdą historyczną, nie możemy Pisma Świętego pojmować literalnie. Dosłowna interpretacja wielkich przekazów czyni z nich skamienieli-ny, czerstwi umysł oraz wyobraźnię i jest źródłem fundamentalizmów. Nieprzypadkowo wszystkie ruchy, doktryny i izmy, niezdolne do odczytania współczesności, apelują do integryzmu, tradycjonalizmu, aż się stają agresywne i totalne. Człowiek, stworzony na obraz i podobieństwo boże, jest istotą żywą, rozwijającą się, poszukującą. Poszukuje prawdy o świecie, o sobie, o Bogu. I każde pokolenie, wzbogacone o wiedzę niedostępną jego poprzednikom, ma obowiązek na nowo odczytać Słowo na tle znaków czasu i zrozumieć, kim jest Bóg i kim jest on, człowiek uwikłany w określony kontekst społeczny i historyczny. Każda generacja buduje Kościół od nowa. Więc proponuję, abyśmy spojrzeli na przesłanie Jana Chrzciciela przez pryzmat naszej współczesnej wrażliwości i naszego zapotrzebowania na fundamentalne pytanie - jak dostąpić świętości? Czyli inaczej - jak żyć odpowiedzialnie i godnie, niezależnie od tak zwanych okoliczności?

Edward zawsze był dobry z polskiego. Pisał ciekawe wypracowania, świetnie deklamował wiersze. Miał oczywisty talent literacki i oratorski, teraz to widzę. Przez lata studiów i posługi kapłańskiej udoskonalił swoje umiejętności. Umiejętnie moduluje głos, starannie buduje zdania. Nie ma jednak w nim nic z zachowania kapłana, który przyswoił sobie prawo do występowania w imieniu Boga, opowiada morały, usiłując banalnym stwierdzeniem nadać rangę mądrości. Nie przemawia, a rozmawia z nami, szczerze przeżywając spotkanie z przyjaciółmi.

- Kim był Jan? Synem Elżbiety i Zachariasza, tak długo wyczekiwany przez niemłodych już rodziców, że ci już utracili wiarę w posiadanie potomstwa. Za utratę nadziei Bóg ukarał Zachariasza chwilowym zanikiem mowy,

gdyż grzechem jest obezwładniająca nas niekiedy niewiara w spełnienie marzeń. Jan przyszedł na świat, aby zapowiedzieć nadejście Mesjasza. Wielka postać ostatniego biblijnego proroka symbolicznie zapowiada przejście od świata Starego Przymierza do nowej ery. Kończy się czas przymierza Jahwe z jednym wybranym narodem, następuje epoka, w której wybranym jest każdy człowiek niezależnie od koloru skóry, narodowości, przekonań, płci. Nie masz Żyda ani Greka, nie masz niewolnika ani wolnego, nie masz mężczyzny ani kobiety; albowiem wy wszyscy jedno jesteście w Jezusie Chrystusie. Odchodzi w przeszłość kurczowe trzymanie się litery Pisma, bezrefleksyjne, rygorystyczne przestrzeganie kultycznych przepisów Starego Przymierza, które niekiedy oznacza przeciwieństwo omijanie Bożego prawa. Nie znaczy nic wybijanie pokłonów Bogu, codzienna spowiedź, przystępowanie do komunii, jeśli żywi się w myślach lub przejawia w czynach niechęć do bliźniego, jeśli naszymi krokami kierują zazdrość, mściwość, chęć wywyższenia się, wrogość. Nie można w jednej ręce trzymać krzyża, a drugą zaciskać w kułak. Wszelka nienawiść jest zaprzeczeniem chrześcijaństwa. Każde słowo, które rani innego człowieka - obraża Boga. Chrystus uwolnił nas z jarzma Prawa, nie ustawajcie w wolności i miłości - przypomina nam Święty Tomasz z Akwinu i nasz papież Franciszek.

Posłaniem życiowym Jana stało się przygotowanie ludzi do Dobrej Nowiny. Symbolem przygotowań do powitania Chrystusa i Dobrej Nowiny, symbolem przejścia do nowego świata był chrzest. Zanurzenie w wodach Jordanu oznacza coś więcej niż rytuał obmycia i przystąpienia do wspólnoty.

Edward pogodnie, trochę żartobliwie się uśmiecha. Zapewne chce zakończyć kazanie akcentem lekkim, optymistycznym. Czekam na końcowe „Amen”. Ksiądz jednak kontuuje:

- Moi drodzy przyjaciele, nigdy nie myślałem, że spotkam się z wami w tym miejscu

i w takiej roli. A już na pewno nie myślałem o tym czterdzieści lat temu, kiedy widzieliśmy się po raz ostatni razem w domu Oli, niedaleko stąd. Podobnie jak wy, nie wiedziałem, co kryje ten kamień, ani nie mogłem przewidzieć, brzemię jakich kamieni każde z nas będzie niosło przez życie. W tym miejscu wszelkie rozważania historyczne byłyby banalne i niewłaściwe. Nie jestem historykiem, lecz kapłanem. I w tej chwili przychodzi mi na myśl tylko modlitwa Ezdrasza: **Wstydę się, Boże mój, i nie ośmielam się nawet podnieść swojego oblicza do ciebie.** Amen.

Edward celebrytuje eucharystyczną część mszy. Bardzo naturalnie podpowiada Włodkowi: - Weź, proszę, ampulkę. Tę buteleczkę z wodą - objaśnia kolede. Obmywa palce, wyciera małym ręczniczkiem. Przenosi hostię z cyborium na patenę, unosi ją w górę nad kamiennym ołtarzem, miesza wino, wznosi kielich, modli się...

Misjonarz ujmuje złoconą czarę.

- Patena. - Spojrzeniem wskazuje Włodkowi tackę. Włodek bierze ją, przyklęka na jedno kolano, podstawi sobie naczynie pod brodę. Edward udziela mu komunii, po czym we dwóch podchodzą kolejno do każdego z nas. Miras nisko skłania głowę przed duchownym, przyjmuje hostię, stojąc. Michał przyklęka.

Nie potrafię sobie przypomnieć, kiedy ostatnim razem byłem u komunii. Chyba podczas pogrzebu ojca, to już dwadzieścia lat. Patrzymy sobie z Edwardem w oczy. Mężczyźni nie wyznają sobie przyjaźni. Niekiedy słowa tylko utrudniają zrozumienie. Nie widzieliśmy się od tak dawna, a jednak łączy nas więź, silniejsza niż więzy krwi. „Człowiek dobrej nadziei”, tak nazwał go Sławek. Koniecznie musimy wraz z Hikari odwiedzić go w jego wiosce nad Ubangi - utwierdzam się w postanowieniu. Edward ledwie zauważalnie kiwa głową, jak gdyby dziękował za moją decyzję lub cieszył się z powrotu syna marnotrawnego.

- Ciało Chrystusa. - Podaje mi hostię.

Opłatek nie ma smaku ani, jak się wydaje, dotyku. Jest prawie niematerialnym przy-

mnieniem Przymierza, które porzuciłem, gdy zadufani ludzie w sutannach zaczęli mi je przedstawiać w postaci niewzruszonego katalogu zakazów i czekających mnie kar.

- Nie jestem katoliczką - mówi stojąca obok mnie Irena.

- To ważne? - pyta Edward z cierpliwym uśmiechem.

Zrozumiałem jego pytanie podobnie jak Irena i zapewne wszyscy pozostali. Edward nie odnosi się ani do zasad religii, wyznawanej przez koleżankę, ani do Kościoła, do którego należy. Nasz przyjaciel pyta ją, czy naprawdę sądzi, że Bóg rozróżnia w nas wyznawców różnych konfesji i wartościuje nas z powodu odmiennych symboli oraz imion, którymi go przywołujemy, czy zwłaszcza w tym miejscu mają jakikolwiek sens spory uczonych w Piśmie.

- Nie, to nie jest ważne - odpowiada Irena. Edward wyciąga w jej stronę mały opłatek. Irena nie bierze go do ręki, pochyla głowę, rozchyła usta i przyjmuje komunię.

Przed rabinem na chwilę się zawahał z kolei Edward. Trzyma w ręku małeńki skrawek białego jak papier chleba i nie wie, przybliżyć się do rabina czy go ominąć. Stary Żyd wyręcza misjonarza z zakłopotania. Kłania się głęboko, wyprostowuje, wyjmuje z rąk księdza hostię i wkłada sobie do ust. Dziennikarz jerozolimskiej gazety postępuje podobnie.

Msza dobiega końca.

- Idźcie w pokoju Chrystusa - kapłan kończy obrzęd...

- Apostołów było dwunastu - przypomina rabin.

- Czasy są trudniejsze, pogan więcej, co słusznie zauważył nasz ksiądz, więc nawet naszej siedemnastki za mało - ripostuje Miras. - Ponadto mamy dwudziesty pierwszy wiek, musimy uwzględnić poprawność genderową. Kościół, który nie ma kobiet wśród apostołów, nie przetrwa.

Miras przekomarza się z rabinem, lecz jego ironia nikogo nie zwodzi. Musimy podjąć decyzję.

- Więc jak robimy? - Dzerry zwykł stawiać pytania wprost.

- Co, jak? - dopytuje Ewelina.
- Ile to będzie kosztowało? - Jasiek jest praktyczny. Ostatecznie jest przecież biznesmenem.

- Co, ile będzie kosztowało? - nie ustępuje Ewelina. Zawsze była trochę mało domyślna.

- Wywóz śmieci, ogrodzenie, uprzątnięcie... Myślę, że w stu tysiącach powinniśmy się zamknąć. Robiłam remont domu, znam miejscowe ceny. - Ola przedstawia wstępną kalkulację. Nie bez powodu dziadek spod krzyża nazwał ją gospodarną kobietą.

- Jeśli dołożymy swoją robociznę, da się obniżyć. - Adam składa deklarację i stawia nas przed wyborem.

- Mogę zapewnić ciężarówkę z kierowcą. Dołożę się też z kasą, chociaż nie wiem, na ile będzie mnie stać. Ostatnio interesy idą mi nieszczerólnie. Ledwie opędzam się z kredytami - Jasiek nie zamierza krygować się na oligarchę.

- Druga połowa sierpnia, będę mógł wykroić dwa tygodnie - wnoszę swój udział.

- Świetnie. Niech będą dwa ostatnie tygodnie sierpnia. - Dżerry zatwierdza termin...

- Jest jeszcze jedna sprawa - wtrącam. Myślę o mogiłach w lesie, o których wspominał dziadek spotkany przy krzyżu.
- Może dałoby się jakoś odszukać groby na polach, w lasach? Dopóki żyją ostatni świadkowie...

- Drodzy państwo, to ja poszukam jakiegoś finansowania wśród naszych. - Rabin wreszcie zrozumiał naszą rozmowę.

Dorota kręci głową. - To miłe z pana strony, ale, proszę nas dobrze zrozumieć, to nasza sprawa. Jeśli ktoś z pańskiej wspólnoty zechce pomóc, okej. Lecz raczej robocizną.

Rabin jest mądrym człowiekiem. Nie obraża się, rozumie słowa Doroty.

- Postaram się przyjechać z synami i przyjaciółmi - mówi.

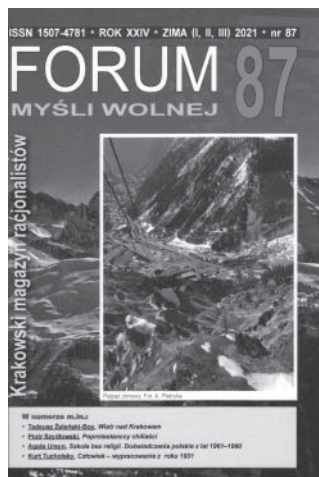
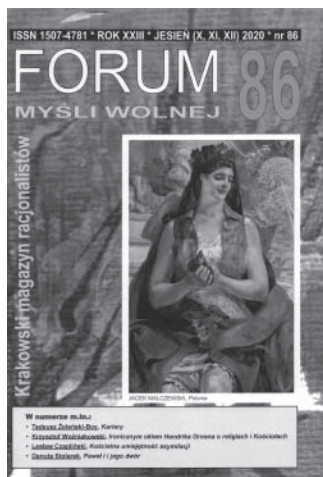
- Oczekujemy czegoś od gminy? - uściśla Adam.

- Poinformuję wójta. Jeśli załapie, niech w czymś pomoże. Jeśli nie, jego sprawa - Dżerry przejmuje rolę kierownika projektu i pośrednika w rozmowach z lokalnymi władzami. Odbieramy tę decyzję jako oczywistą.

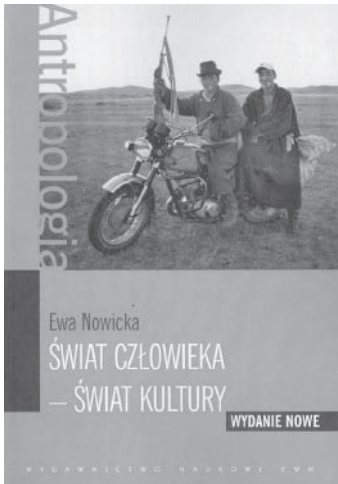
- Chcecie zrobić porządek na cmentarzu?! - Ewelina wreszcie się domyśla.

Już od blisko dwu dekad **FORUM MYŚLI WOLNEJ**, czasopismo krakowskich świeckich humanistów, które swoim patronem uczyniło Tadeusza Boya-Żeleńskiego, towarzyszy owocnie działalności polskiego ruchu świeckiego. Filozofia, etyka i historia oraz wiele innych spraw minionych i współczesnych wypełnia, głównie piórem autorów krakowskich, łamy tego, kwartalnika. Jego założycielem i wieloletnim redaktorem naczelnym był, do końca życia, Stanisław FRAN CZAK, ceniony poeta i prozaik. Jego dzieło kontynuuje dziś dr Józef KABA J, filozof, etyk i znawca łaciny - z powodzeniem godnym szacunku.

Redakcja
„RES HUMANA”



SPOTKANIE Z ANTROPOLOGIĄ



Ewa NOWICKA

Ewolucja człowieka

WYKŁAD TRZECI

Proces ewolucji prowadzący do narodzin człowieka współczesnego rozpoczął się, przypomnijmy, około 8 mln lat temu. Ze wspomnianej rodziny *Hominidae* (Człowiekowatych) wyodrębniła się rodzina *Pongidae* (Człekokształtnych), z której żyją dziś co najmniej cztery gatunki: szympan, goryl, orangutan i gibbon.

2.1. Rodzina *Hominidae*

W trakcie rozwoju rodziny *Hominidae* dokonał się proces hominizacji (uczłowieczenia), który polegał na natężeniu się, zaostreniu i kolejnym rozkwicie poszczególnych cech typowo ludzkich. Istotnym był rozwój cech anatomicznych i behawioralnych, które umożliwiły powstanie kultury i jej rozwój. Powszechnie uznawana jest opinia, że zmiany środowiska, które się dokonały na Ziemi 14 mln lat temu, a mianowicie ocieplenie się i zmniejszenie wilgotności klimatu prowadzące do przekształcenia się lasu tropikalnego w sawannę, stanowiły istotny bodziec biologicznych przemian, prowadzących do rozwoju pierwszych *Hominidae*. Przechodzenie od życia w lesie do otwartej przestrzeni sawanny nadawało sens dwunożnemu chodowi, spionizowanej postawie ciała oraz zmianom ostrości poszczególnych zmysłów. Na sawannie nie było takiej obfitości pożywienia jak w tropikalnym lesie, na przykład łatwo dostępnych owoców, a to zmuszało organizmy tu żyjące do pewnych rozwiązań adaptacyjnych. Dostępnym pożywieniem stały się twarde nasiona traw, a także mięso upolowanych lub padłych zwierząt.

2.2. Pierwsze istoty Człowiekowate – *Australopithecus* (Australopitek)

Współczesne analizy genetyczne dowodzą, że między 8 a 5 mln lat temu dokonały się zmiany biologiczne, które doprowadziły do rozdzielenia się linii małp człekokształtnych i istot Człowiekowatych. Pierwsze z tych ostatnich są określane jako Australopiteki (*Australopithecus*: od słów *australo* – południowy i *pithecus* – małpa). Australopiteki żyły w środowisku sawannowym na dużych obszarach Afryki Południowej, Środkowej i Wschodniej w długim okresie od około 5 lub 3,5 mln lat temu do około 1,5 mln lat temu. W ostatnich latach antropologowie zgodnie uznali, że Australopiteki to wczesna forma człowiekowata.

Dalsze badania wykrywały kolejne ogniwa w obrębie rodziny Człowiekowatych, a mianowicie: *Ardipithecus ramidus*, *Astralopithecus anamensis* i *afarensis* oraz *Paranthropus*. Nie ma zgody, czy wszystkie te formy można zaliczyć do wspólnego rodzaju *Australopithecus*, ale wszystkie one stanowią najwcześniejszy okres rozwoju rodziny *Hominidae*. Do

tej grupy Australopiteków należy słynny szkielet Lucy zachowany w 40 proc. Okres dzieciństwa u Australopiteka musiał być z biologicznego punktu widzenia podobny do tego okresu u Człowieka współczesnego. Gromadę razem wędrującą tworzyło kilka lub kilkunastu dorosłych osobników i ich „dzieci”. Zakładanie względnie stałego obozowiska było bardzo ważną cechą życia zbiorowego, odróżniającą te wczesne Człowiekowate od małp. U Australopiteka rozwinęły się też czynności narzędziowe i metody współpracy w gromadzie w stopniu niespotykanym u małp. Wprowadzenie z kolei do diety mięsa miało poważne znaczenie dla ewolucji rodziny *Hominidae*: pozwalało m.in. na wzrost kondycji fizycznej jej członków oraz zdolności eksploracji; podlegały pewnej zmienności w przestrzeni i w czasie.

2.3. Rodzaj *Homo* (Człowiek)

W okresie od 2,5 do 1,5 mln lat temu dokonują się kolejne zmiany klimatyczne prowadzące do gwałtownego ograniczenia strefy lasów i wzrostu obszaru sawannowego i stepowego wraz z fauną przystosowaną do tego rodzaju środowiska. Z tymi zmianami wiążą się też przeobrażenia w obrębie rodziny *Hominidae*, a zwłaszcza pojawienie się rodzaju *Homo* wraz z używaniem narzędzi.

Homo habilis i *Homo ergaster*

W 1964 r. Louis Leakey odkrył w wąwozie Olduvai w Tanzanii istotę nazwaną *Homo habilis* (człowiek umiętny), produkującą najbardziej prymitywne narzędzia, a cechami anatomii i behawioru odbiegające od przeciętnych Australopiteków. Wśród nowych cech tej istoty trzeba wymienić zupełnie wyprostowaną postawę, zdolność do długotrwałego chodu dwunożnego, bardziej chwytną dłoń, większy mózg i znacznie bogatsze zachowania narzędziowe. Z formą *Homo habilis* wiąże się najwcześniejszy znany nam zespół narzędziowy, któremu od miejsca znaleziska nadano nazwę „**przemysł olduwajski**”. Narzędzia te to dość nieregularnie roztluczone otoczaki z ostrymi krawędziami i do wielokrotnego używania. Skłonna jestem traktować narzędzia przemysłu olduwajskiego jako przejaw najwcześniejszego rozwoju kultury ludzkiej.

W procesie ewolucji istot człowieczych do postaci człowieka antropolodzy odkryli w Kenii istotę ludzką, którą nazwali *Homo ergaster*. Nikt nie ma wątpliwości, że istoty te posiadały cechy, które przybliżały je do tego, aby stać się Człowiekiem.

Homo erectus

Okolo 2 mln temu dokonują się istotne przemiany biologiczne w obrębie rodziny Człowiekowatych, których wynikiem jest pojawienie się form zakwalifikowanych do rodzaju *Homo*.

Ich reprezentatywnym przedstawicielem stał się *Homo erectus*, człowiek wyprostowany, wyższy i masywniejszy od wcześniejszych form i dysponujący stosunkowo wysoką pojemnością mózgową, która wahała się od 750 do 1250 cm³ (dla porównania: pojemność mózgową Człowieka współczesnego waha się od 1000 do 2000 cm³). *Homo erectus* żył na rozległych obszarach Starego Świata, to znaczy w Afryce, Azji i Europie co najmniej 800 tysięcy lat i do tego w silnie zróżnicowanych warunkach przyrodniczych. Sądzi się więc, że jedna z rozwinętych form *Homo erectus* lub też, w innej koncepcji *Homo ergaster*, dała początek wszystkim formom gatunku *Homo sapiens*, a przynajmniej jego formie współczesnej.

Homo erectus znał ogień, co stwarzało zupełnie nowe i nieznanne mu dotąd możliwości kulturowej adaptacji do rozmaitych środowisk. Dla przetrwania zarówno osobniczego, jak i gatunkowego społeczeństw opierających choćby w pewnym stopniu swoją egzystencję na myślistwie, konieczny był podział pracy zgodny z płcią. Sposób porozumiewania się między jednostkami musiał być dobry, a przynajmniej skuteczny. Na podstawie rozległych badań archeologicznych z formą *Homo erectus* wiąże się też powszechnie dwa przemysły szelki i aszelski, które składają się na okres w dziejach kultury ludzkiej określane jako dolny paleolit, czyli najwcześniejszy okres starszej epoki kamienia (czasem nazywanej też epoką kamie-

nia łupanego z powodu nieobecności śladów gładzenia kamienia). Wspomniane przemyśły przetrwały do górnego paleolitu, czyli do czasów, gdy istniał już człowiek współczesny. W ostatnim okresie życia najbardziej rozwiniętych form *Homo erectus*, czyli od 250 do 100 tys. lat temu, pojawiła się kultura **lewaluaska**, która pozwalała na uzyskanie ostrego, regularnego i w miarę precyzyjnego ostrza.

Można powiedzieć, że kultura dolnego paleolitu i narzędzia tworzone w tym czasie były milowym krokiem, ale nie był to krok ostatni.

Homo sapiens

Około 200 tys. lat temu dokonały się poważne zmiany kulturowe; pojawia się też nowa generacja narzędzi, które należy wiązać ze zmianami biologicznymi – pojawieniem się nowych form, nazywanych sapiennymi, to znaczy związanych z gatunkiem *Homo sapiens*.

Homo sapiens neandertalensis (*Neandertalczyk*) jest, w świetle najnowszych ustaleń antropologów, jedną z form człowieka bez wątpienia chronologicznie, biologicznie i kulturowo szczególnie bliską człowiekowi współczesnemu. Pierwsze stanowiska Neandertalczyka są datowane na 200 tys. lat, natomiast od 120 tys. temu stanowiska są liczone w setkach. Mieszkał on na wielkim obszarze od zachodniej Europy po zachodnią Azję, od Atlantyku po Uzbekistan i od Walii po wybrzeża Morza Śródziemnego. Przypomnijmy, że w okresie jego życia przypadły gwałtowne zmiany środowiska przyrodniczego. Około 70 tys. lat temu zaczęło się szybkie ochładzanie klimatu aż do nasuwania się lodowca na tereny północnej Europy. Zapewne w wyniku tej presji pojawiło się wspomniane już zróżnicowanie biologiczne człowieka neandertalskiego. Ważnym typem znalezisk mówiących o kulturze i życiu społecznym człowieka neandertalskiego były ceremonialne pochówki, czasem o charakterze wyraźnie obrzędowym. Jego schyłek datuje się na 30–20 tys. lat temu, **tzn. na początek rozkwitu człowieka z Cro-Magnon, bezpośredniego przodka dzisiejszych populacji ludzkich. Nie uchyla to faktu, że Człowiek współczesny wyewoluował z form człowieka neandertalskiego, czego dowodem są cechy fizyczne niektórych ras ludzkich, a zwłaszcza pierwotnej ludności Australii, która reprezentuje jedną z najdawniejszych form Człowieka współczesnego z powodu geograficznej izolacji.**

Neandertalczyk został prawdopodobnie zepchnięty przez Kromanióńczyka na skraj ekumeny, a potem wymarł.

Homo sapiens sapiens – człowiek z Cro-Magnon (*Homo sapiens recens*, Człowiek współczesny).

Współczesne badania genetyczne wskazują, że około 200 tys. lat temu pojawiła się grupa osobników, których geny stały się zacykiem naszego typu Człowieka współczesnego.

Człowiek ten pojawił się w Afryce, potem przeszedł na Bliski Wschód, a może też na Półwysep Iberyjski, **stając się podstawą wszystkich populacji ludzkich żyjących dziś na świecie.**

Najwcześniejsze znane nam szczątki podgatunku *Homo sapiens sapiens* są datowane na okres od 40 do 35 tys. lat temu. Tworzył on kulturę górnego paleolitu, będzie więc czasem nazywany człowiekiem górnopaleolitycznym lub człowiekiem z Cro-Magnon. Dzięki zmiennej i elastycznej kulturze jego populacja ze swojego hipotetycznego miejsca powstania na Bliskim Wchodzie szybko rosła i rozprzestrzeniała na szerokie obszary Europy, Azji i Afryki. Można zatem powiedzieć, że w okresie górnego paleolitu zakończył się proces biologicznej adaptacji do środowiska przyrodniczego. Odtąd przeobrażenia kultury ludzkiej dokonywały się już za sprawą mechanizmów kulturowych, a nie pod wpływem przemian biologicznych, ewolucyjnych.

Około 30 tys. lat temu populacja człowieka, a więc jedyne pozostałego na globie Hominida osiągnęła apogeum. Między 75 a 30 tys. lat temu wymarły inne odgałęzienia człowieka, może inne gatunki lub inne formy naszego gatunku. Przyczyniły się do tego niekorzystne zmiany środowiska – chłody spowodowane kolejnymi mikroglodowaczeniami trwającymi po 1000–2000 lat. Człowiek miał ogromne zdolności adaptacyjne, ale zarazem

ogromne zdolności niszczenia środowiska naturalnego. Świadczy o tym wyniszczenie fauny górnoplejstocenińskiej – gigantycznych ssaków z obszaru obu Ameryk w ciągu około 300 lat. Zasadlanie Ameryk musiało się rozpocząć między 42 a 21 tys. lat temu, co potwierdzają dane archeologiczne i ekologiczne. Natomiast Australia zaczęła być zasiedlana około 60–50 tys. lat temu przez ludzi naszej formy biologicznej przybyłych z zachodu.

Według najnowszych koncepcji współczesna forma człowieka ewoluowała w ciągu około 200 tys. lat swojego istnienia: populacje afrykańskie rozwijały się w populacje mongoloidalne i europeoidalne wraz z rozwojem szeregu cech. Cechy te to: zwiększenie mózgu, obniżenie poziomu hormonów płciowych, zmniejszenie agresywności oraz sprawniejsze planowanie przyszłości i stabilności rodziny. Zasadnicze składniki funkcji mózgu, które można przełożyć na składowe inteligencji ludzkiej to: pamięć, kojarzenie, ekstrapolacja, intuicja, kreatywność. Działają one, wedle różnych koncepcji, osobno lub łącznie.

3. Punkty zwrotne procesu hominizacji

3.1. Sekwencja rozwoju cech typowo ludzkich

Wszystkie cechy, które uznaliśmy za typowo ludzkie, pojawiały się stopniowo, w określonej kolejności. Przypomnijmy, że najwcześniej w rodzinie *Hominidae* ukształtowała się pionowa postawa ciała, a wkrótce potem dwunożny chód; że w kolejnych latach te cechy wzbogacały inne, niemniej istotne umiejętności, jak ostrość wzroku, zmysł obserwacji i szybkość reakcji czy wreszcie zdolność wytwarzania narzędzi, o których mówi się, że to one w istocie stworzyły człowieka.

Narzuca się pytanie o przebieg ewolucji: czy powstanie człowieka było konieczne, czy przypadkowe? Jedna z koncepcji głosi, że powstanie człowieka jest efektem zbiegu wielu okoliczności i że w identycznych warunkach na innej planecie prawdopodobieństwo jego pojawienia się było bliskie zeru. Zgodnie z drugą koncepcją, machina rozwoju raz puszczona na pewien tor przyniosła określone rezultaty. Chodzi tutaj znowu o narzędzia, które tworzył człowiek oraz o odkrycie ognia i sposobu zdobywania żywności.

Środowisko sprzyjało przetrwaniu osobników, a raczej zbiorowości, o najlepiej ukształtowanym systemie komunikowania się i współdziałania oraz najlepiej rozwiniętych formach kultury. Dopiero bowiem w trakcie ewolucji gatunku *Homo sapiens* dokonało się ostatecznie przesunięcie z adaptacji biologicznej na adaptację kulturową.

3.2. Pojęcie ludzkości

Pojęcie „ludzkość” można rozumieć bardzo szeroko i włączyć do niego wszystkich przedstawicieli rodziny *Hominidae*, jednakże z punktu widzenia kryteriów hominizacji i kulturyzacji początki Człowiekowatych to zaledwie zapowiedź takich procesów. Ludzkość możemy ujmować nieco wężej i zaliczyć do niej tylko przedstawicieli rodzaju *Homo*. To ustalenie wydaje się znacznie bardziej uzasadnione, gdyż cechy zarówno anatomiczne, jak i społeczno-behawioralne w obrębie rodzaju *Homo* zachowują znaczną jednolitość, a w każdym razie wyraźne podobieństwo. W jeszcze węższym rozumieniu ludzkość można pojmować jako gatunek *Homo sapiens*. Wtedy zaliczymy do niej wszystkie formy należące do naszego gatunku, a także te, które poprzedzają współczesną formę człowieka. Takie ograniczenie pozwala już dostrzec obecność wszystkich cech kultury ludzkiej, choćby w załączkowej formie.

Zgodnie z najwęższym – może zbyt wąskim – sposobem pojmowania, ludzkość ogranicza się tylko do współczesnej formy człowieka żyjącej na świecie od około 40 tys. lat, a nawet 100 czy 200 tys. lat do chwili obecnej.

Kolejny wykład w nast. numerze.

Powyższy wykład został oparty na kolejnej części podręcznika Ewy NOWICKIEJ zatytułowanego Świat człowieka – świat kultury i opublikowanego jako wydanie nowe w Wydawnictwie Naukowym PWN w 2012 r.

ŚWIADECTWA

W kilku listach, które nadeszły ostatnio do naszej redakcji, poproszono nas o odpowiedź na pytanie, jak rozumieć pojęcie kultury świeckiej.

Proponujemy na to pytanie odpowiedzieć tekstem prof. Jerzego ŁADYKI, zmarłego niedawno cenionego filozofa, długoletniego członka zespołu naszej redakcji, napisanym do wydania książkowego.

Redakcja

Jerzy ŁADYKA

O kulturze świeckiej

Pojęciem świeckości określa się wartości, postawy ludzkie i wszelkie zjawiska kulturowe, które nie są związane z religią czy religijnością. Zwróćmy od razu uwagę, że w potocznym języku używa się tych słów (religia, religijność) w dwojakim znaczeniu. Jedno odnosi się do indywidualnej postawy człowieka, w którego życiu istotną rolę odgrywa wiara w istnienie bezpośredniego związku rzeczy tego świata i jego osobiście z transcendencją – Bogiem, któremu z ufnością poleca swój los. Otóż, z tego typu religijnością (religią), będącą jednostkowym doświadczeniem wewnętrznym człowieka postawa świeckości nie pozostaje w relacji opozycyjnej. Zachowuje wobec niej pozycję neutralną. Świeckość przeciwstawiana jest religijności (religii) w innym znaczeniu. Wówczas mianowicie, kiedy przez religię rozumie się system symboli (wartości, normy, liturgia) służących Kościołowi instytucjonalnemu (hierarchicznemu) do nadawania określonej formy ekspresji wyznaniowej ludzi wierzących. Kościół za pomocą symbolicznej wykładni religii sprawuje kontrolę nad podległą mu wspólnotą wiernych oraz nad stanem ducha poszczególnych jednostek. Mówiąc inaczej, świeckie jest to, co nie jest związane z religią jako wykładnią światopoglądową Kościoła instytucjonalnego, która stanowi jego doktrynę ideologiczną. Z reguły działanie Kościołów cechuje ekspansywność. Dążność do uzyskania dominującego wpływu

na całokształt kultury społecznej. W tej płaszczyźnie opozycyjność świeckości i religijności uzyskuje pełną wyrazistość. Człowiek mający świadomość przynależności do kultury świeckiej nie posługuje się regulatorami kulturowymi wywiedzionymi z doktryny religijnej. Jest zainteresowany w nieistnieniu jakichkolwiek form przymusu światopoglądowego. A tym samym zainteresowany w działaniach, mających na celu uwolnienie od stanu, lub niedopuszczenie do sytuacji, w których jedna opcja wyznaniowa ma zasadniczy wpływ na ustalanie obowiązujących norm i praw w zróżnicowanym światopoglądowo społeczeństwie. Zrozumiałe zatem, że świeckość znajduje się na pozycji przeciwstawnej wobec zjawiska klerikalizacji życia społecznego. Stąd ważnym postulatem dążeń środowiska ludzi świeckich jest konstytucyjny zapis o rozdziale instytucji Kościoła i instytucji państwowych. Towarzyszyć temu powinna nieustająca czujność, pozwalająca przeciwstawić się wciąż ponawianym przez środowiska klerikalne próbom wprowadzenia do ogólnej kultury społecznej reguł postępowania i przywilejów o charakterze wyznaniowym.

Świeckość jest związana nierozłącznie z humanizmem – ściślej mówiąc z kulturowym prądem, stawiającym człowieka w centrum systemu wyznawanych wartości. Twórcy tej ideologii przeciwstawili się średniowiecznej wykładni teologicznej Kościoła, deprecjonującej

cielesność człowieka i jego zdolności poznawcze. Humanisci wystąpili w obronie praw człowieka. Wnieśli do wiedzy o jego kondycji i jego możliwościach twórczych ogrom cennych treści. W filozofii, literaturze, w malarstwie, architekturze potężnie zabrzmiał ton apoteozy człowieka. Pewną oczywistość uzyskało przekonanie, że człowiek stanowi centralny punkt, z którego bije źródło wartości moralnych intelektualnych, twórczych. Myśl humanistyczna przydała wizji człowieka walor wspaniałości. Wspaniałości uzasadniającej w pełni prawo do dominowania w świecie. Zasięg tego ujęcia okazał się bardzo szeroki i długotrwały.

Minione wieki poświadczają siłę ideową i wychowawczą koncepcji humanizmu. Znajduje to wyraz w postępie wielu dziedzin życia ludzi, gdzie wzrasta poziom ogólnej cywilizacji i kultury poszczególnych jednostek. Ale jest to tylko część prawdy. Poczuciu satysfakcji towarzyszy uczucie zagubienia, goryczy i bezradności wobec własnych słabości i dostrzeganych zagrożeń. Człowiek ogłaszany wielkością okazuje się rażącą w oczy małością. Powołany do pomnażania dobra oskarżany jest, nie bez podstaw, o autorstwo zła przewyższającego zło natury. A także o brzydotę w wymiarze zwielokrotnionym przez własną twórczość. Niezwykle osiągnięcia poznawcze wprzęgane są w procesy, o których wiadomo, że podważają tradycyjne, właśnie humanistyczne wartości ludzi. Nawet więcej, grożą zagładą ludzkości i zniszczeniem ziemskiego globu.

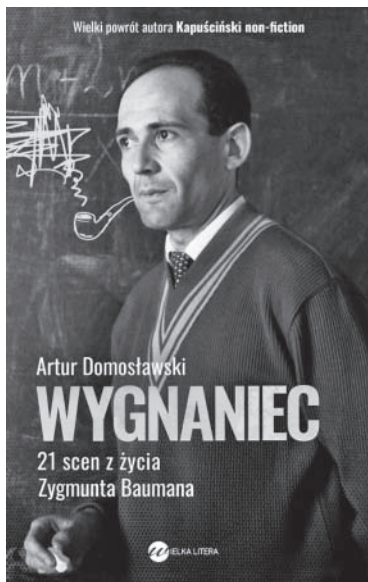
Okazuje się, że wykładnia idei humanizmu, przeniknięta wątkiem apoteozy człowieka jest wewnętrznie niespójna. Cierpi na słabość jednostronności, nie odzwierciedla adekwatnie sytuacji człowieka w świecie współczesnym. Blednie – i z tej racji traci siłę oddziaływania. Staje się abstrakcyjną retoryką i szlachetną utopią – ornamentem czystych intencji, pozbawionych realności czynu. Nasuwa się w związku z tym pytanie o źródła tego stanu rzeczy i o sposób wyjścia z niefortunnej sytuacji. Czy istnieje szansa przywrócenia idei humanizmu poznawczego blasku i siły duchowego oddziaływania? Pokrótkie można by przedstawić w tej kwestii następujące uwagi.

Działalność protoplastów humanizmu przypada na okres XVII–XVIII w., kiedy sfe-

ra ideologii i kultury zdominowana była przez religię chrześcijańską a Kościół dysponował monopolem w dziedzinie oświaty. W ujęciu istoty człowieka obowiązywała oczywiście wykładnia Kościoła, obciążona wszelako notoryczną niestabilnością będącą skutkiem niespójności biblijnego zapisu o początku ludzkości. Funkcjonują w nim bowiem obok siebie dwie przeciwstawne wersje na temat natury człowieka i jego powołań. Z jednej strony – człowiek, grzeszny z własnej woli, uznany za istotę małą, złą, skazaną na wieczne poczucie winy i pokutę, z drugiej strony – człowiek jako byt potężny i dobry, bo odzwierciedlający swą osobą cechy boskie: „Bóg stworzył człowieka na obraz swój. Na obraz Boga stworzył go”. Nieustające spory wynikłe z interpretacji tej antynomii odbijały się wyraziście w praktycznym stosunku do Kościoła, do realnych problemów życia ludzi. Protopleści humanizmu przeciwstawili się skrajnej degradacji cech człowieka jako tworu przyrody. Ale w akcie konstatacji i aprobaty jego rzeczywistych wartości, tj. rozumu, wolności, zdolności kulturotwórczych – podważających w samej rzeczy fundamentalne założenia religii – przejęli, jako dzieci epoki, również pogląd o jego wyjątkowości i wspaniałości, pogląd zepchnięty co prawda przez Kościół w niebyt abstrakcji, ale przecież jako dogmat nigdy nie unieważniony. Wpisali się niejako w biblijną tradycję ujmowania istoty człowieczeństwa w kategoriach ponadnaturalności, nie mieszczących się w granicach przyrody. Wątek ten przyczynił się, można sądzić, do osłabienia kondycji poznawczej humanizmu i siły jego oddziaływania. Uwidoczniło się to m.in. w przypadku potocznej wersji humanizmu marksistowskiego. Chyba zgodnie z raczej powszechnym doświadczeniem pouczającym, że nadmiar samozachwyty osłabia samokontrolę i twórczą inwencję czynu. Wniosek z tego wypływa taki, że idea humanizmu może wiele zyskać przez uwolnienie się od elementów swoistej megalomanii i apriorycznej apoteozy człowieka o proveniencji biblijnej.

Sugestia ta, jak sądzę, pozostaje w zgodzie z historią. Próbie nowego spojrzenia na człowieka przez twórców epoki renesansu towarzyszyło (jak to z samej nazwy wynika) dąże-

Dokończenie na III s. okł.



Mirosław CHAŁUBIŃSKI

Obrona wygnańca

Uwagi o książce
Artura Domosławskiego

Z dużą niecierpliwością oczekiwałem na ukazanie się napisanej przez A. Domosławskiego biografii Z. Baumana, autora już kilku głośnych książek m.in. *Gorączki latynoamerykańskiej* (2004) i najbardziej z nich znanej – choć kontrowersyjnej – *Kapuściński – non fiction* (2010). I nie zawiodłem się!

Powodów do satysfakcji z tej lektury było wiele: osobistej i ogólniejszej natury. Do osobistych zaliczę fakt, że gdy miałem 16 lat zetknąłem się z dwoma książeczkami Baumana: *Socjologia na co dzień* i *Kariera* popularyzują-

cymi socjologię. Ich lektura zadecydowała o moim – nieco późniejszym – wyborze kierunku studiów i zawodu. Podjąłem studia socjologiczne i słuchałem ostatniego wykładu Profesora w semestrze zimowym 1967/1968, a później wraz z kolegami przeżyłem jego usunięcie z Uniwersytetu Warszawskiego.

Powody satysfakcji z lektury miały też ogólniejsze przyczyny. Domosławski podjął się analizy twórczości badacza, który śmiało może uchodzić za jednego z popularniejszych w świecie polskich humanistów. Patrz wspaniały indeks cytowań!!! Książki Baumana zostały przełożone na kilkadziesiąt języków. Aby się o tym przekonać wystarczy przespacerować się po księgarniach europejskich stolic. Wszędzie znajdziemy tam tłumaczenia jego książek. Intelktualny fanklub Baumana jest ogromny, a wśród czytelników znajdziemy też papieża Franciszka, którego encykliki społeczne, np. *Landato si* (2015) i *Fratelli tutti* (2020), zawierają nawiązania do baumanowskich analiz późnej nowoczesności i krytyki skutków neoliberalizmu w globalizującym się świecie, a także stanu swoistego *interregnum*, w którym znajduje się współczesny świat. Bauman jest powszechnie czytany, choć polemistów – chyba zwłaszcza w naszym kraju – nie braknie.

W ostatnim czasie ukazało się w świecie – a także w Polsce – kilka prac poświęconych poglądom i biografii Z. Baumana. Wymienię tu D. Brzezińskiego *Twórczość Zygmunta Baumana w kontekście współczesnych teorii* (2017) i D. Rosiaka *Bauman* (2019). Prace te ze względu na swój obiektywizm, analityczne walory zasługują z pewnością na wysokie oceny. Wiele się z nich nauczyłem.

Niemniej jednak chciałem podkreślić, że praca A. Domosławskiego ze względu na swój rozmach (liczy ona ok. 900 stron) i wykorzystanie obszernych, różnorodnych materiałów (oprócz książek Baumana posłużono się w niej państwowymi i prywatnymi archiwaliami, relacjami zebranych podczas rozmów ze znajomymi, materiałami prasowymi, a nawet osobistymi pamiętnikami Baumana) zasługuje na szczególną uwagę. Uderzające w niej jest dążenie do głębokiego i całościowego potraktowania tematu. Dlatego też nie można traktować jej tylko jako standardowej biografii, lecz również należy dostrzegać w niej swoiste studium teoretyczne z dziedziny myśli społecznej zaprezentowane w sze-

rokiem kontekście intelektualno-politycznym kilku epok historycznych Polski. Zważywszy też na szerokość zainteresowań badawczych Baumana – do kompetentnej analizy jego twórczości niezbędna jest erudycja, odczytanie z wielu dziedzin w tym z socjologii (socjologii polityki, socjologii nauki zwłaszcza), filozofii, historii idei, historii społecznej i politycznej Polski i świata.

Domosławskiego cechuje też – bardzo przydatna w tym miejscu – samoświadomość badawcza jeśli chodzi o metodologię biografii, której elementem jest uchwycenie kontekstu twórczości naukowej i dążenie do całościowego ujęcia problematyki.

Trzeba w tym miejscu zwrócić również uwagę na pomysłową konstrukcję książki, przeprowadzony w niej podział na *sceny* i *przystanki*, który pozwala na śmielsze uogólnienia, a także prezentację epizodów z życia Baumana, konkretyzujących klimat ówczesnych wydarzeń. Słowem uchwycenie klimatu i kontekstu twórczości i działania.

Kiedy dowiedziałem się – kilka lat temu – z prasowych doniesień, iż A. Domosławski finalizuje pisanie biografii Z. Baumana pojawiło się u mnie naturalne pytanie, skąd wzięło się u niego zainteresowanie jego twórczością. Odruchowa odpowiedź była poniekąd naturalna – Z. Bauman to jeden z najwybitniejszych analityków współczesności. Ale autor książki udziela też głębszej odpowiedzi – nie wykluczającej poprzedniej – przywołując epizod związany z obchodzeniem 50-lecia tzw. wydarzeń marcowych 1968 r. w Polsce. Otóż na Dworcu Gdańskim powstał mural poświęcony polskim emigrantom pochodzenia żydowskiego, którzy musieli opuścić Polskę po marcu 1968 r. Fragment muralu stanowił też wizerunek Baumana, na którym autor tej książki znalazł napis „Morderca”, skreślony ręką jakiegoś polskiego „patrioty”. Ta rażąca brutalność i niesprawiedliwość napisu – zdaniem Domosławskiego – motywowała go dodatkowo do intensywnych prac nad biografią Z. Baumana. Pomogła też autorowi skryształizować pomysł związany z tytułem powstającej książki – WYGNANIEC i stanowiła dlań coś w rodzaju klucza interpretacyjnego. Czy jest on trafny? Odpowiem w tym miejscu zwięźle: zdecydowanie tak, a myśl swą rozwinę poniżej. Nie sposób jest bowiem zrozumieć bez uwzględnienia pewnych traumatycznych wydarzeń składających się na jego życiorys (a także na biografię jego pierwszej żony Janiny, współwystępującej w dużych fragmentach książki jako jej współbohaterka) bez uwzględnienia pewnych traumatycznych wydarzeń, które wpłynęły na jego twórczość naukową i postawy polityczne, które przejawiał w różnych okresach życia.

Wygnaniec – a wynika to z kontekstu analiz autora – to człowiek odrażony, nieakceptowany (przynajmniej do końca) w swoim środowisku społecznym przez osoby znaczące w dłuższych okresach życia i który z tych powodów musiał opuszczać dotychczasowe środowisko zawodowe i państwa, w których mieszkał.

Tych „wygnań” w biografii Baumana było kilka i zazwyczaj były związane z jego (i żony) antysemitycznymi doświadczeniami. Opisuje je przekonująco autor w kilku rozdziałach książki (m.in. *Żydowski chłopiec w getcie ławkowym*, *Żydowski Polak*, *Polski Żyd*, *Zygmunt spotyka Janinę*, *Rok 1968: wygnany po raz drugi*, *Wygnań po raz trzeci i czwarty*).

Przypomnieć tu należy, iż Bauman był pochodzenia żydowskiego i drobnomieszczańskiego, a później marksistowskim „rewizjonistą”, choć nie można go nazwać działaczem opozycji demokratycznej. Od końca lat 80-tych Z. Bauman częściej przebywał w Polsce i mógł śledzić kryzys realnego socjalizmu i początki postkomunistycznej transformacji i można powiedzieć, iż często wypowiadał się krytycznie o kierunkach zmian dokonujących się w III RP. Nierzadko bywał też krytykowany (często niesłusznie) za swoją komunistyczną przeszłość i za pochodzenie zwłaszcza przez skrajną, narodową prawicę.

Przyjrzyjmy się teraz bliżej owym „wygnaniom” i związanymi z nimi wydarzeniami.

Z. Bauman wychował się w endeckim Poznaniu, gdzie antysemickie postawy były bardzo powszechne. Poznał je już na podwórku, a zwłaszcza w szkole, gdzie doświadczył getta ławkowego, gdy sam siedział w szkolnej ławce. W początkach II wojny światowej 2/3.09.1939 r. (miał wtedy 15 lat) wraz z rodziną po wielu przygodach dociera na Białoruś, a potem do Rosji. Tam pracuje m.in. w kołchozie, milicji drogowej, kształci się. W początkach 1943 r. dowiaduje się o powstawaniu Związku Patriotów Polskich, jego demokratycznej ideologii. Potem trafia do 4 dywizji im. J. Kilińskiego I Armii Wojska Polskiego. Akceptuje ówczesną namiastkę rządu, którą jest PKWN. Uczestniczy w walkach na Wale Pomorskim i zdobywaniu Kołobrzegu (I–II 1945), gdzie zostaje ranny. Później walczy w operacji berlińskiej. Za udział w walkach zostaje odznaczony Krzyżem Walecznych. Można powiedzieć, iż to dlań okres formacyjny, że wtedy kształtują się zręby jego radykalnych, lewicowych przekonań. Wierzył, że Polska jako państwo może być reaktywowana jedynie wtedy, gdy jej relacje z ZSRR będą nie tylko poprawne, ale i bliskie, a model ustrojowy Związku Radzieckiego – o wiele bardziej demokratyczny niż to ma miejsce w oryginale – będzie wprowadzony w Polsce. Był mocno przekonany, że Polska była „wyzwalana, a nie zniewalana”, zaś później wielokrotnie powtarzał, że nigdy nie dał się uwieść komunistycznej ideologii, a dzisiejsze jego wybory i decyzje, gdyby podejmował je posiadając aktualną wiedzę, byłyby podobne.

Tuż po zakończeniu II wojny 4 dywizja I Armii Wojska Polskiego (czerwiec 1945 r.) została wcielona do Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego (KBW), zaś Z. Bauman brał udział w prowadzonych przez nią walkach (1946–1947) ze zbrojnym podziemiem, głównie na Podlasiu.

Domosławski wbrew lansowanym przez różne środowiska opiniom dokumentuje tezę, iż Bauman w tym czasie pełnił przede wszystkim różne funkcje w aparacie polityczno-wychowawczym KBW. Gdyby było inaczej znalazłyby się odpowiednie materiały w archiwach IPN, zaś niektórzy w patriotycznym uniesieniu zajęliby się rozpowszechnianiem zdobytych tam informacji, nawet gdyby były one mocno niepewne. W KBW Bauman pracował do 18.02.1953 r. i zostaje ze służby wojskowej usunięty ze stopniem majora. Oficjalnym jego powodem było burżuazyjne pochodzenie i brak gotowości jego przezwyciężenia.

W ostatnich latach pracy w KBW Z. Bauman wiąże się z Uniwersytetem Warszawskim (uczęszcza od 1952 r. na seminaria i wykłady prowadzone na Wydziale Filozoficznym), a po rozstaniu się z wojskiem rozpoczyna pracę w katedrze Materializmu Dialektycznego i Historycznego w UW, kierowanej przez prof. A. Schaffa, a potem w Zakładzie Materializmu Historycznego, kierowanym przez Juliana Hochfelda. Początki jego pracy akademickiej przypadają na okres stalinowski i uczestniczył on w prowadzonej odgórnie krytyce „burżuazyjnej” socjologii, choć jego prace z tamtych czasów nie należą oględnie mówiąc do szczytnych osiągnięć, nie odróżniają się one od tego co pisali wówczas J. Chałasiński, L. Kołakowski, B. Baczeko i wielu, wielu innych. Zazwyczaj stanowili oni później czołowe osoby demokratycznej opozycji.

Bauman w tym czasie bardzo dużo pracuje, szybko pisze doktorat pod kierunkiem J. Hochfelda (i broni go w 1956 r.; doktoraty nazywano wówczas zwyczajem radzieckim pracami kandydackimi) i habilitację (1960 r.). Obie te prace były poświęcone socjalizmowi angielskiemu i ruchowi robotniczemu w Wielkiej Brytanii. Publikuje także szereg studiów i prac popularnonaukowych zdobywając szybko wysoką pozycję w socjologii. Wyrazem tego jest pełnienie przez niego prestiżowej funkcji redaktora naczel-

nego *Studiów Socjologicznych*, wydawanych od 1961 r. Można śmiało powiedzieć, że w okresie październikowym odegrał on pozytywną rolę w szybkim odchodzeniu jej od dogmatycznego marksizmu – leninizmu i nawiązywania przez polską socjologię mocno osłabionych czy też w pewnych dziedzinach wręcz zerwanych kontaktów z socjologią zachodnią, zwłaszcza amerykańską. Można powiedzieć, że wspierał on swą aktywnością procesy liberalizacji zachodzące w ówczesnej nauce, choć trudno jest go nazwać działaczem opozycji demokratycznej.

Bauman – trzeba to wyraźnie powiedzieć – należał do PZPR (a wcześniej do PPR) od jej powstania (XII 1948) aż do początków 1968. Było to w owym czasie w pełni zgodne z jego politycznymi przekonaniem. Natomiast dużą rolę w wystąpieniu z PZPR odegrała prowadzona od 1966 r. przez nacjonalistyczne kręgi w rządzącej partii antysemicka kampania (zwrócona także niekiedy przeciwko niemu). Czystki personalne dotknęły wielu instytucji, w tym także Uniwersytetu Warszawskiego. Z. Bauman należał też do grupy 6 profesorów usuniętych z UW decyzją ministra Szkolnictwa Wyższego w III 1968 r. (znajdziemy wśród nich oprócz Baumana, B. Baczeko, W. Brusa, M. Hirszowicz, L. Kołakowskiego i S. Morawskiego).

Jesienią 1968 r. Z. Bauman wraz z rodziną wyjeżdża z Polski (i można to traktować jako „drugie wygnanie”, 3 lata spędza w Izraelu wykładając socjologię w Tel Aviwie, a później (1971 r.) znalazł się w Wielkiej Brytanii, w ośrodku akademickim w Leeds, gdzie pracował aż do emerytury (1990 r.) pełniąc różne funkcje (kierownik katedry, dyrektor).

Właśnie tuż przed przejściem na emeryturę i nieco później rozpoczyna się bodaj najbardziej płodny naukowo okres w życiu Z. Baumana. W tym czasie publikuje on kilkadziesiąt książek tłumaczonych na wiele języków. Najgłośniejsza z nich to *Nowoczesność i zagłada* (1989 r.). Uzyskuje też w tym czasie kilka tytułów doktora honoris causa (18) i innych prestiżowych wyróżnień w tym: Nagrodę im. T.W. Adorno (2008), Nagrodę Księcia Asturii (2010).

Fanklub Baumana – zauważa Domosławski – jest wciąż za granicą bardzo liczny, liczniejszy niż w naszym kraju, z którym mimo wielu utrudnień nie zerwał kontaktów aż do śmierci. Bardziej intensywnego charakteru kontakty z Polską nabrały w końcu lat osiemdziesiątych XX wieku, gdy wydatnemu osłabieniu uległy utrudnienia wizowe.

Ale przeszłość (zwłaszcza wczesna młodość) wciąż się za nim ciągnęła i nastąpiły kolejne „wygnania” Baumana. Było ich kilka ale jeden z najbardziej spektakularnych wiąże się ze sprawą odnowienia jego doktoratu w 2006 r. Przypomnieć tu należy, iż w r. 2005 procedurze tej na Wydziale Filozofii i Socjologii UW został poddany Leszek Kołakowski, którego aktywność w krytyce „starej” profesury i „burżuazyjnej” filozofii w okresie stalinowskim była niewątpliwa. Jednak tylko Baumanowi odmówiono na UW odnowienia doktoratu. Komisja rektorska (na jej czele stała ówczesna rektor K. Chałasińska-Macukow) nie protestowała, choć na jej posiedzeniu nie przedstawiono choćby jednego czynu dyskredytującego Baumana, lecz jego wielki dorobek naukowy i pozycja w światowej literaturze okazała się być niewystarczająca.

Lecz i później miały miejsce inne wydarzenia, które zaliczymy do kategorii „wygnań”: 22 czerwca 2013 r. we Wrocławiu Fundacja F. Eberta i F. Lassalla wraz z Uniwersytetem Wrocławskim zorganizowali publiczną konferencję z okazji 150 rocznicy SPD. Głównym referentem był Bauman, którego obecność spotkała się na sali z brutalnymi protestami środowisk nacjonalistycznych. Podobne zajścia – choć w mniejszej skali – miały też miejsce w innych miastach przy okazji planowanych wystąpień Baumana. Zazwyczaj

protestowała faszyzująca prawica. Innym incydentem, który Bauman też boleśnie przeżył była sprawa wydania drugiej części „wywiadu-rzeki”, który przeprowadził z nim S. Obirek (książka ukazała się już po śmierci Baumana z dużym opóźnieniem w 2020 r.).

Wydarzenia te spowodowały, że kontakty Baumana z polskim życiem publicznym i ogólnie z Polską osłabły. Nie do końca jednak, bo 20 marca 2015 r. poślubił swoją koleżankę ze studenckich lat, profesor socjologii Aleksandrę Jasińską-Kanię, pracującą w Instytucie Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego.

*

Na koniec pozwolę sobie na kilka zdań reasumpcji. Biografia i różne aspekty jego twórczości zajmowały wielu polskich (i nie tylko) badaczy. Znajdziemy wśród nich wypowiedzi zdecydowanie kontrowersyjne, znajdziemy także – wspomniane książki D. Brzezińskiego, D. Rosiaka – solidne prace badawcze, które mają niemałą wartość analityczną, faktograficzną i są zarazem udaną prezentacją osobowości Z. Baumana. Książka A. Domostawskiego przewyższa te próby wartością dokumentacyjną w analizach podejmowanych problemów. Stanowi ona – moim zdaniem – najpełniejszą jak dotąd biografię uwarunkowań twórczości Baumana, a nawet coś więcej, bo zawiera ważne fragmenty zbiorowego portretu Polski po II wojnie światowej i po 1989 r.

Dla mnie i dla wielu jej czytelników duże znaczenie będzie miał fakt, iż jest to dobrze napisana książka. Autor swobodnie posługuje się różnymi konwencjami literackimi: reportażem, felietonem, esejem a pewne jej fragmenty stanowią studium naukowe. To bynajmniej nie zaskakuje, gdy zna się wcześniejsze jego publikacje.

Wartość tej książki polega też na tym, że burzy ona rozpowszechnione stereotypy, klisze ideologiczne dotyczące PRL i komunizmu, zwłaszcza w tej formie, która dominuje w oficjalnej ideologii państwowej i polskiej propagandzie po 2015 r. w okresie „dobrej zmiany”.

Słowem *Wygnanica* warto przeczytać. To ważna książka istotnie wzbogacająca naszą wiedzę o Polsce i jej złożonym losie.

Wygnaniec. 21 scen z życia Zygmunta Baumana. Warszawa 2021.



Mądre rozmowy: trzecia edycja

Pod redakcją Edwarda Chudzińskiego, byłego redaktora naczelnego krakowskiego „Zdania”, ukazał się trzeci zbiór znanych od wielu lat rozmów tego – bardzo zasłużonego – pisma („Trzech na jednego: rozmowy Zdania”, Kraków: IMA-GO 2021). Poprzednie dwa zbiory ukazały się w latach 1986 i 1990 przynosząc reedycję rozmów prowadzonych od 1978 roku.

Mam do tych rozmów stosunek osobisty, gdyż pod koniec 1989 roku stałem się jednym z rozmówców „Zdania” komentując wtedy rozwijającą się lawinę zmian demokratycznych w naszej części Europy. Gdy wielu ludziom ówczesnej

lewicy załamywał się dotychczasowy świat, „Zdanie” widziało w tych zmianach wielką szansę na urzeczywistnienie lewicowych marzeń o sprawiedliwej i demokratycznej Polsce w zmieniającej się Europie. W latach późniejszych w rozmowach „trzech na jednego” wyraźna była orientacja pisma wspierającego swymi rozmowami nurt reformatorski.

Najnowszy tom obejmuje zapis czterdziestu rozmów prowadzonych w latach 1993–2020. Jest to wspaniała lektura pokazująca przemyślenia bardzo interesującego grona lewicowych intelektualistów zatroskanych perspektywami polskiej demokracji.

Kim są rozmówcy „Zdania”? Połowa z nich (20) posiada tytuł profesora. Niemal jedna czwarta (9) to w przeszłości politycy piastujący wysokie stanowiska państwowe: prezydent Aleksander Kwaśniewski, premierzy Marek Belka i Włodzimierz Cimoszewicz, wicepremierzy Jerzy Hausner, Grzegorz Kołodko, Zdzisław Sadowski, Józef Tejchma, ministrowie Jacek Kuroń i Adam Daniel Rotfeld. Dwaj rozmówcy to znani z niezależności duchowni: ksiądz Stanisław Musiał i biskup Tadeusz Pieronek. Politycznie dominują ludzie związani z lewicą (w tym trzej, którzy odgrywali znaczącą rolę w okresie Polski Ludowej: Aleksander Kwaśniewski, Marian Stępień i Józef Tejchma, a także dwaj najgłośniejsi opozycjoniści z tamtego okresu – Jacek Kuroń i Karol Modzelewski). Są pisarze, artyści, dziennikarze. Wszystkich ich łączy szczególny sposób patrzenia na dzisiejszą Polskę – połączenie afirmacji dla dokonanej demokratycznej transformacji i niezgody na dryfowanie w stronę prawicowego autorytaryzmu.

W gronie tym są niestety sami mężczyźni, ale już w najnowszym numerze ukazać się ma rozmowa z Aleksandrą Jasińską-Kanią, co zapowiada odejście od dotychczasowej niefortunnej praktyki.

Każda z zamieszczonych w tomie rozmów zaczyna się od części biograficznej. Życiorysy rozmówców są pod tym względem bardzo zróżnicowane. Większość pochodzi z warstw ludowych, ale nie brak też ludzi ze środowisk inteligenckich. Poza dwoma duchownymi niemal wszyscy związani byli z tak czy inaczej rozumianą lewicą już we wczesnej młodości. Wyjątkiem jest Zdzisław Sadowski – we wczesnej młodości zafascynowany Obozem Narodowo-Radykalnym, a w pierwszych latach powojennych sądzony za udział w podziemiu, co nie przeszkodziło mu z czasem stać się nie tylko jednym z wybitnych lewicowych ekonomistów, ale także (w latach osiemdziesiątych) wicepremierem rządu sprawującym pieczę nad ówczesną reformą gospodarki. W życiorysach czterech rozmówców (Zygmunta Baumana, Józefa Hena, Adama Daniela Rotfelda, Mariana Turskiego) ważne miejsce zajmuje ich żydowski pochodzenie – u każdego z ich pociągające zresztą za sobą inne życiowe wybory. Poruszająca jest w tym kontekście zwłaszcza biografia mojego wieloletniego przyjaciela Zygmunta Baumana, którego antysemicka kampania 1968 roku wypchnęła z Polski i którego ostatnie lata życia zastrężyły ataki prawicowych fanatyków.

Rozmówcy „Zdania” nie stronią od krytyki tego, co uważają za błędy i wady polskiej polityki, w tym szczególnie polityki lewicy, z którą niemal wszyscy się identyfikują. W tej krytyce nie ma jednak odrzucenia lewicowych wartości, ani rezygnacji z dążenia, by były one podstawą polskiej polityki. Dobrze koresponduje z tym rozmowa, w której biskup Tadeusz Pieronek – na krótko przed śmiercią – wyrażał swój sprzeciw wobec kierunku, w jaki idzie polska hierarchia kościelna, coraz dalsza od wskazań papieża Franciszka.

Czytane razem rozmowy „Zdania” uderzają swoją mądrością i odwagą intelektualną. To dobrze, że mamy w Polsce pismo potrafiące tak rozmawiać i takich znajdować rozmówców.

Jerzy J. WIATR

FORUM MYŚLI NIEOBOJĘTNYCH

Redaktor Wacław SADKOWSKI, stały autor swoich tekstów w tej rubryce, zmuszony jest, ze względu na stan zdrowia, czasowo zawiesić ich druk. Życzymy Mu z serca powrotu do zdrowia.

Redakcja „RES HUMANA”.

Tak myślę

Andrzej ŻOR

Romansu z Romanowskim ciąg dalszy

Książka Andrzeja Romanowskiego *Antykomunizm czyli upadek Polski* (Uniwersytet, Kraków 2019), której poświęciłem krótkie omówienie w poprzednim numerze „Res Humana”, zawiera tyle odniesień do dawnej i współczesnej historii Polski, że nie da się ich pomieścić w jednej, nawet obszernej recenzji. Tym razem pora na znalezioną w książce sensacyjną informację, tym ważniejszą, że zbiega się z uroczystie obchodzoną 120 rocznicą urodzin Witolda Pileckiego – sztandarowego bohatera Polski Podziemnej, oficera, który wslawił się ucieczką z Auschwitz, a którego biografia jest tak dobrze znana, że nie trzeba jej przypominać. Brał udział w Powstaniu Warszawskim, a po wyzwoleniu z ołagru podjął antykomunistyczną działalność wywiadowczą. Ze znalezionych przez IPN w materiałach bezpieki dokumentów wynika, że został on (2 lata po powrocie do kraju) aresztowany 8 maja 1947 i tego samego dnia złożył obszernie zeznania obciążające swych najbliższych współpracowników, w tym Marię Szelańską – swoją sekretarkę i maszynistkę oraz znanego potem filozofa Tadeusza Płużańskiego, ujawnił skrytki, kody i co tam jeszcze. Na podstawie zestawienia dat i innych faktów Romanowski dochodzi do wniosku, że zeznania te zostały złożone już na wstępie śledztwa, a więc „z dobrej woli”. Bestialskie tortury miały miejsce później. Mimo tych zeznań Pilecki został skazany na śmierć i wyrok wykonano, zaś wobec pozostałych (skazanych na najwyższy wymiar kary) Bierut skorzystał z prawa łaski. Pilecki także o ulaskawienie poprosił, bez skutku [Romanowski, *Antykomunizm*, ss. 139–148].

Nie sądzicie, a nie będziecie sądzeni. Nie mam ani dostatecznej wiedzy, ani tym bardziej żadnych praw, by oceniać zachowania ludzi, którzy znaleźli się w sytuacjach ekstremalnych, dochodzić ich motywów, oburzać się, usprawiedliwiać lub zaprzeczać. Jak siedzi się w wygodnym fotelu i popija kawę, łatwo ferować wyroki, co z lubością robią „demaskatorzy” IPN. Czas by były trudne i równie trudno było o zachowania standardowo poprawne. Nie chcę także dociekać, dlaczego informacja o tych zeznaniach jest dawkowana skąpo, by – broń Boże – nie uchybić wizerunkowi narodowego bohatera, który – zda-

niem ekspertów – był jedną z najwybitniejszych postaci w europejskim ruchu oporu. Interesuje mnie raczej specyficzna relacja między despotą a poddanym, panem a niewolnikiem (używając terminologii Hegla), katem a ofiarą. Rotmistrz Pilecki nie jest bowiem jedynym tej relacji przykładem.

W 1848 roku uczestnicząc w kongresie panslawistycznym w Pradze rosyjski anarchista Michał Bakunin został aresztowany przez Austriaków i wydany Rosji. Miał grube wobec caratu przewiny, nazywał przecież Rosję krajem niewolników, symbolem kata, oskarżał ją o zbrodnie wobec Polaków, co szczególnie irytowało Imperatora. Ale zamknięty w twierdzy Bakunin napisał swoją słynną *Spowiedź*, adresowaną do cara Mikołaja I, w której przyznał się do błędów i pokajał za grzechy. Od popierania Polaków mocno się zdystansował. Mikołaj czytał ten dokument, robił uwagi na marginesie, polemizował z autorem. Czy ta spowiedź ułagodziła cara i wpłynęła na wymiar kary, nie wiadomo. Ostatecznie Bakunina skazano nie na karę śmierci, lecz na zesłanie, z którego zresztą uciekł, wrócił do zachodniej Europy, wznowił przerwana przez aresztowanie opozycyjną wobec caratu działalność i dalej głosił swoje światoburcze poglądy.

Przed kilkudziesięciami dniami władze Białorusi zmusiły do lądowania samolot lecący z Aten do Wilna i aresztowały dziennikarza i działacza opozycji Romana Protasiewicza, uznanego przez Łukaszenkę za wroga nr 1 reżimu sprawującego rządy. Bodaj dwa dni później na konferencji prasowej Protasiewicz wyznał swoje winy, przyznał, że błędził i przeprosił despotę. Na razie jego usprawiedliwienia nie odniosły skutku, dalej siedzi, zaś wysiłki społeczności międzynarodowej nie przyniosły, jak to zwykle bywa, żadnego skutku. Po tych wyznaniach zmniejszyła się natomiast propagandowa prezentacja jego osoby w polskich mediach, choć dociekliwi dziennikarze starają się znaleźć ślady bicia.

Opisywane wydarzenia zrodziły się w różnym czasie i w różnych miejscach globu, choć wszystkie łączy specyfika relacji „pana” i „niewolnika”. Czy to ona, a nie tylko słabość charakteru, strach przed torturami, czy wreszcie wymuszenie biciem lub stosowanie innych, może bardziej wyrafinowanych metod śledczych, decyduje o takich zachowaniach? Policja polityczna wszystkich krajów ma swoje metody pozyskiwania informacji, że wspomnę choćby Pawła Jasienicę, któremu podstawiono żonę, a która po miłosnych aktach wyciągała zeszyt i pisała raporty dla pracodawcy. Podobno zresztą Jasienicę kochała, ale miłość to jedno, a obowiązek drugie. Można podejrzewać, że w tych relacjach tkwi jakaś siła tajemna. Póki nie umiemy rozszyfrować tego skomplikowanego psycho-socjologicznego mechanizmu, lepiej wstrzymać się od wartościowania, ograniczyć do faktów.

Nie da się natomiast uciec od kwestii prezentacji tych informacji w ramach uprawianej polityki historycznej. Bo co ma zamiar zrobić ze sprawą Pileckiego minister Czarnek – apologeta dumnej polskiej historii? Przemilczeć, jak uczynili to komentatorzy świętujący w publicznych mediach jubileusz jego urodzin? Mącić w głowie uczniom, którzy oczekują raczej na czarno-białą niż pogmatwaną wersję historii? Mówić prawdę, nawet gorzką? Powiedzieć, że nie potrafimy tego zinterpretować? Pogodzić się z tym, że wszystkie państwa „lubią sprawować kontrolę nad przeszłością i narzucać jej interpretacje”. I że „Historia jest jednym z najbardziej użytecznych narzędzi do tworzenia ideologiczno-kulturowych warunków sprzyjających utrzymaniu istniejących struktur władzy”¹.

Minister Czarnek z pewnością o tym wie, a to – niestety – smutna konstatacja.

¹ Barbara SZACKA, *O pamięci społecznej*; za: Artur Domosławski. *Wygnaniec*, Wielka Litera, Warszawa 2021, s. 129

WŚRÓD KSIĄŻEK

Kacper POBŁOCKI

Chamstwo, Wydawnictwo CZARNE,
Wołowiec 2021, s. 382 + 2 nlb.



Zrodzone z tragicznej niedoli

Po *Kapitalizmie. Historii krótkiego trwania* (2017), uznanej przez „Economicus” za „najlepszą polską książkę ekonomiczną roku” jej autor, Kacper Pobłocki opublikował właśnie swoją nową pracę intrygującą już choćby samym tytułem.

Czy chodzi o analizę etymologiczną tego słowa, a może o jego – chamstwa rozległą obecność w życiu codziennym choćby w kraju nad Wisłą, a może o wszystkim innym od jego rozumienia przez autora książki pod tym tytułem. I w tym właśnie momencie rozpoczyna się poważne spotkanie z opowieścią, której początki odnajduje Kacper Pobłocki w starotestamentowej przypowieści o arce Noego i jego trzech synach, wśród których znalazł się też o imieniu Cham... Poprzestańmy na wskazaniu tego tropu ze s. 140 rozdziału 6 rzezonej książki, aby dowiedzieć się

o stygmatyzowaniu tym słowem przez wieki milionów pańszczyźnianych chłopów polskich i aby budzić wobec nich niechęć, a często okrutną przemoc, mającą usprawiedliwiać zachowania ich panów.

Wymieniliśmy wyżej słowo „przemoc”, aby dodać, że jest ono nicią przewodnią tej książki. Bicie bowiem, nie zostało, zdaniem autora „dotychczas zanalizowane”. Co więcej: „Przez blisko stulecie – nie powstała żadna praca, która starałaby się połączyć cząstkowe opisy oraz fragmentaryczne doświadczenia w teoretyczną całość. Próbą stworzenia takiej całości jest *Chamstwo*, s. 317)”. Przyznajmy – to satysfakcja dana niewielu uczonym. Autor dodaje zarazem, że książka została celowo pomyślana jako jednostronna. Celem tej strategii jest stworzenie nowej historii poprzez opowiedzenie się po stronie słabszych. W tym sensie *Chamstwo* wpisuje się w nurt badawczy, który Walter Benjamin nazwał «tradycją uciśnionych»... Bo historię zawsze pisze się z jakiegoś punktu widzenia – w zasadzie tylko świadomie stronnicza historia jest historią prawdziwą”. Wyznajmy, że po najnowszych polskich doświadczeniach z traktowaniem historii, po „żołnierzach wyklętych”, publikacjach IPN czy zapowiedziach zmian w nauczaniu historii przez obecnego ministra edukacji narodowej i nauki w Polsce – szlachetne myśli Benjamina, aprobowane przez Pobłockiego, wymagają rozumienia ich w określonym kontekście czasu oraz uwarunkowań ustrojowych.

Książka Kacpra Pobłockiego nie należy do lektur łatwych: i nie chodzi tutaj o jej wykonanie edytorskie (na papierze dziś modnym, ale wymagającym wyrazistej czcionki – a tej zabrakło), ale o merytoryczną strukturę całości. Jest ta całość złożona z dwunastu rozdziałów podzielonych na cztery części zatytułowane kolejno: *Ludzie bez twarzy*, *Patriarchat*, *Bezpaństwo i Realizm magiczny*. Przy najlepszej woli zrozumieliśmy do końca ich sens i kolejność dopiero po wyjaśnieniach autora przedstawionych w obszernym *Posłowiu*. Dobrze, że autor odczuł jego potrzebę, w efekcie czego otrzymaliśmy kilkunastustronicową jakby autorecenzję tej książki. To rzadkie przedsięwzięcie i wyzwanie dla jej czytelników oraz recenzentów.

Skorzystajmy z tego wyzwania. „Teoretyczna konstrukcja, którą stanowi niniejsza książka, oparta jest na budowaniu takich konstelacji napięć: ludzi, pojęć, instytucji, wydarzeń. Mogą one szokować, ale celem *Chamstwa* nie jest moralna kruczata przeciwko szlachcie – czytamy Pobłockiego. Przemoc interesuje mnie nie dlatego, że jej powszedniość może być dziś oburzająca, ale dlatego, że stanowiła najważniejszy fundament ówczesnego porządku. To w jaki sposób klasy ludowe próbowały sobie radzić w sytuacji pańszczyźnianego terroru, stało się istotnym zacznym ludowej kultury, która miała ... fundamentalnie polityczny charakter” (s. 318).

I dalej. „*Chamstwo* jest książką «niezdyscyplinowaną» ... Nie tylko ze względu na swoją interdyscyplinarność; również dlatego, że sięgam po możliwie najmniej zdyscyplinowane źródła – takie, pozwalają najmocniej wychylić się poza perspektywę «pańską» i zbliżyć do doświadczenia tych, którzy trzymali wówczas język za zębami. To są pamiętniki, ale też folklor – na przykład pieśni” (s. 329).

W *Posłowiu* autor zwalnia nas także z obowiązku przedstawienia treści poszczególnych rozdziałów swojej pracy. „Zaczynowe rozdziały 1–3 – czytamy – pokazują przemoc taką, jaką była naprawdę. Są analizą relacji klasowej, która w życiu codziennym manifestowała się w biciu. Mamy tutaj nie tylko opisy okrucieństwa, lecz także jego konsekwencji, widocznych na przykład w fenomenie społecznej śmierci czy też w ludowej teorii wampiryzmu. Rozdziały 4–6 pokazują, że ideologią społeczeństwa klasowego opartego na instytucji bicia i zjawisku odczłowieczenia jest patriarchat. Na tej części kończy się opis tego, jak wyglądały struktury władzy i panowania, a zaczyna się druga część książki, gdzie na pierwszy plan wychodzą strategie ludowego oporu. O ile rozdziały 1–6 pokazują absolutny charakter pańskiej władzy, o tyle rozdziały 7–12 dowodzą jej kruchości” (s. 331).

„Kluczową jest oczywiście cielesność: to ciało pańszczyźniane, poddane procesowi klasotwórczemu, stanowi nośnik tej opowieści. ... To ono ukazuje prawdę pańszczyźnianego życia i prawdę istnienia klas. A jednocześnie pozwala zobaczyć, że najbardziej trwałym piętnem pańszczyzny jest dziś patriarchat” (s. 331).

Kacper Poblócki, jako „antropolog społeczny i historyczny”, oraz absolwent wielu uczelni zagranicznych, sądzi zarazem o wadliwości pojęcia klasy średniej czy stratyfikacji społecznej, ale to z pewnością dostrzegą okiem krytycznym socjologowie, dla których te kategorie są fundamentalne.

O tej książce można by napisać jeszcze wiele. Bo wyróżnia się intelektualną odwagą oraz ujmującą wrażliwością moralną na ludzką krzywdę, którą dostrzegamy także i dzisiaj. To wystarczające powody, aby książkę Kacpra Poblóckiego traktować jako pulsujący znak ostrzegawczy przed współczesnymi zagrożeniami, które mogą nas dopaść, jak dopadły miliony naszych przodków.

Zdzisław SŁOWIK

Dramat Powstania Warszawskiego

Zakłamaną historią Powstania. Kto odpowiada za śmierć 200 tysięcy cywilów, praca zbiorowa pod redakcją Pawła DYBICZA, t. 1, Fundacja Oratio Recta, Warszawa 2014, s. 328 oraz kolejne tomy: t. 2 *Błędy dowódców. Poufne rozkazy i dokumenty*, pod redakcją Pawła DYBICZA i Józefa STĘPNIA, Warszawa 2018., s. 302 +2 nlb; t. 3 *Obłęd i głód. Nieznany „Dziennik Powstańczy”*, pod redakcją Pawła DYBICZA i Józefa STĘPNIA, Warszawa 2018, s. 294+2 nlb.; t. 4 *Raporty oficerów AK. To się skończy katastrofą* pod redakcją Pawła DYBICZA i Józefa STĘPNIA, Warszawa 2019, s. 238; t. 5 *Gen. Władysław Anders: Powstanie to zbrodnia*, pod redakcją Pawła DYBICZA i Józefa STĘPNIA, Warszawa 2020, s. 421 + 3 nlb.



Więcej niż trzy czwarte stulecia dzielą nas już od owej Godziny W 1 sierpnia 1944 roku, która dała początek Powstaniu Warszawskiemu, a mimo to pamięć o tym dniu wcale nie gaśnie. Jego dramat wciąż trwa, bo trwa pamięć o niezawinionej śmierci tysięcy naszych rodaków, ale też o wpływie powstańczego zrywu na oblicze powojennej Europy i miejsca w niej naszego państwa. To uzasadnione powody wielu ważnych inicjatyw, także edytorskich.

Jedną z nich to wskazane w notce bibliograficznej tego tekstu pięć książek wydanych w krótkich odstępach czasu w Bibliotece Fundacji Oratio Recta, pod patronatem tygodnika „Przegląd” i ze szczególnym udziałem redaktora Pawła Dybicza. To określa charakter merytoryczny tej inicjatywy, której istota wyraża się w dezaprobachie dla martyrologicz-

nego jedynie obrazu Powstania czy też jego jednostronnie określanego oblicza politycznego; jest więc „historią bez IPN”, co wystarczająco definiuje teksty czytane w tej pięciotomowej opowieści o dramacie warszawskiego Powstania.

Nie jest ta opowieść lekturą łatwą: bo to przede wszystkim dokumenty o wielkich walorach historycznych – meldunki dowódców kierowane przez nich do ówczesnego premiera rządu Rzeczypospolitej na uchodźstwie – Władysława Sikorskiego lub gen. Kazimierza Sosnkowskiego, rozkazy oraz różne instrukcje i wytyczne, teksty z Biuletynu Informacyjnego – pisma wydawanego przez Komendę Główną ZWZiAK, ale także opinie na temat Powstania wielu znanych historyków i publicystów czy wywiady z nimi; jest też obszerny tekst syntetyzujący Jacka Owczarskiego o *Polsce krwawiącej 1944–1948*.

Z tekstu tego przytoczmy maleńki i poruszający fragment „W pełni identyfikuję się ze słowami Pawła Jasienicy (Leona Beynara – autora cennionych książek historycznych – przyp. red.), który wkrótce po Powstaniu Warszawskim napisał, że było ono *wymierzone militarnie przeciwko Niemcom, politycznie przeciwko Sowietom, demonstracyjnie przeciw Anglosasom, a faktycznie przeciw Polsce*.”

Każdego roku dnia 1 sierpnia od godziny 17 wsłuchuję się w skupieniu w bicie dzwonów i wycie syren. Myślami jestem przy tych, którzy polegli i cierpieli w tym zrywie wolności, który skończył się katastrofą narodową. Dominuje w mojej wyobraźni, w tym powrocie do przeszłości, tragiczny los dzieci i ich matek. I to z mojej strony wszystko w tym Dniu”.

Według danych przytoczonych w opracowaniu szacuje się, że w 63 dniach walk powstańczych zginęło 180 tys. mieszkańców Warszawy, w tym około 17 tysięcy powstańców i około 33 tysięcy dzieci. Średnio w czasie jednego dnia powstania ginęło 3 tys. osób. Uległ zniszczeniu wielowiekowy dorobek materialny mieszkańców miasta. Zburzonych zostało ponad 90 proc. budynków mieszkalnych oraz urzędów i instytucji polskiego państwa, przy czym dokonał tego okupant po wcześniejszym wypędzeniu z miasta jego ocalałych mieszkańców.

I leży też w gruzach zamiary polityczne inicjatorów Powstania: miało ono stworzyć warunki powojennej odbudowy demokratycznego państwa polskiego, a zamiast tego powstało państwo zrodzone z woli Stalina i na podobieństwo jego imperium. Przy wszystkich wiadomych odmiennościach fundamenty ustrojowe tego państwa zakończyły się w Polsce dopiero w 1989 roku. Dożyła tego dnia szczęśliwie garstka ocalałych uczestników Powstania.

O tych wszystkich dramatycznych wydarzeniach Powstania oraz o ich uwarunkowaniach międzynarodowych znajdujemy w historii „bez IPN” obraz tyle przejmujący, co zachęcający do wielu refleksji o polskim losie. Autorom i wydawcy tej inicjatywy należą się słowa szczerego szacunku.

Wacława MIELEWCZYK

Marek KORNAT
Mariusz WOŁOS –

Józef Beck. Biografia.
Wydawnictwo Literackie,
Kraków 2020, s. 1150.



Niemożliwy taniec linoskoczka

Wśród zalegającej półki nielicznych już księgarń historycznej tandety można czasem natrafić na książkę wyróżniającą się profesjonalizmem i badawczą rzetelnością. Do tej malejącej grupy można z pewnością zaliczyć biografię Józefa Becka – ministra spraw zagranicznych sanacyjnej Polski – autorstwa Marka KORNATA i Mariusza WOŁOSA. Niełatwo ją przeczytać, a odbiorcy uproszczonych ideologicznie wersji historii będą mieli kłopoty z jej zrozumieniem. Liczy 1150 stron, z tego ponad 880 to tekst, pozostałe to imponujące przypisy sięgające kilku tysięcy pozycji i równie imponująca bibliografia.

Autorzy wyznają, że pracowali nad książką dwadzieścia lat. Chyba warto było, bo książka zawiera opis karkołomnych wysiłków dyplomacji polskiej kierowanej przez Becka na rzecz utrzymania ledwie odzyskanej niepodległości i zapewnienia Polsce bezpiecznego i godnego miejsca na europejskiej mapie. To zadanie jeden z brytyjskich dyplomatów określił mianem „niemożliwego tańca linoskoczka”,

przez pewien czas się udaje, lecz potem następuje nieuchronny upadek. Tak też się w historii Polski stało. Pierwsza wojna światowa i akty zaakceptowane przez społeczność międzynarodową (traktat wersalski) nie tylko nie rozwiązały narosłych wcześniej problemów, ale wykreowały nowe, w większości związane z powstaniem niepodległych państw na gruzach monarchii austro-węgierskiej.

W tej grupie bodaj z największą wrogością spotykała się Polska, nazwana „bękartem traktatu wersalskiego”, do którego rewizji dążyły dwa rosnące w siłę ościenne mocarstwa, okrojone z dawnych nabytków terytorialnych, w tym jedno pokonane w bezpośrednim starciu militarnym (wojna bolszewicka 1920 r.). W tej sytuacji drogą wyjścia z sytuacji bez wyjścia, ze splotu sprzecznych interesów w Europie i geopolitycznego usytuowania Polski, wydawało się budowanie mocarstwowej pozycji nowopowstałego państwa, przy równoczesnym zapewnieniu sprzyjających nam porozumień międzynarodowych. To drugie Beck starał się czynić, co autorzy opisują z godną podziwu dokładnością, mając także na uwadze zapewnienie choćby minimum obiektywizmu w ocenie tej polityki (i samego Becka). Po przepadku wszelkich nadziei we wrześniu 1939 r. opinia polska opluła go bowiem jako winnego klęski i taka opinia jest w dużym stopniu obecna w świadomości zbiorowej także dziś.

Biografia Becka jest w istocie drobiazgową charakterystyką prowadzonej przez obóz piłsudczykowski i wiernej wskazówkom Marszałka polityki zagranicznej. Możliwości dokonania skutecznego wyboru były jednak ograniczone. Postawienie na jednego z dwóch wrogów (ZSRR lub Niem-

cy) stawiało Polskę w roli wasala wybranego mocarstwa. Tworzenie własnego silnego bloku (Międzymorze) należy zaliczyć do kategorii żartów. Beck (bo to on jako minister był kreatorem polityki zagranicznej) wybrał (późno, to prawda) gwarancje traktatowe ze strony Francji i Anglii, lecz państwa te – jak wiadomo – wystawiły nas do wiatru, nie mając ani sił, ani ochoty do starcia militarnego z Hitlerem, a potem (po pakcie Ribbentrop – Mołotow) już z dwoma wrogami. W sytuacji bez wyjścia Beck (można to powiedzieć, znając dalszy bieg wypadków), kiedy wygłaszał swoje słynne majowe przemówienie, wybrał słusznie: skoro nie dało się ocalić kraju, ocalono przynajmniej jego dobre imię. Ale tak naprawdę klucz do silnej pozycji Polski nie leżał w traktatach, lecz w dokonaniu niezbędnych przeobrażeń w gospodarce, odejściu od archaicznej gospodarki agrarnej, przyspieszonej industrializacji, unowocześnieniu armii. Także w zakończeniu polsko-polskiego konfliktu wewnętrznego. Ale na to Beck miał ograniczony wpływ. W prowadzonej polityce zagranicznej był wprawdzie suwerenem, ale o pozostałych dziedzinach bytu państwowego decydowali inni.

Autorzy książki stanęli przed arcytrudnym wyborem koncepcji prezentacji biografii Becka na tle polskiej polityki w międzywojniu. W imię szczegółowego omówienia życia i działalności ministra (wymogi biografii) musieli zrezygnować z opisu wszystkiego, co działo się w polityce wewnętrznej, także z polityki gospodarczej. Tym, którzy będą czynić z tego zarzut, wypada odpowiedzieć, że gdyby Kornat i Wołos pokusili się o taką prezentację, książka musiałaby zostać uzupełniona o kolejnych tysiąc stron. Ponieważ adresowali ją do profesjonalnych historyków, a nie do masowego czytelnika, przyjęli założenie, że fakty i zdarzenia z tamtej epoki (jak antagonizm piłsudczyków i endecji, polityka sanacji, Brześć i Bereza, pojawienie się ruchów faszystowskich, narodowa megalomania, antysemityzm etc.) są dość dobrze znane.

Nawet bez omówienia tych kwestii książka jest jednak dziełem zasługującym na najwyższe uznanie. Autorem udało się także uniknąć wszechobecnego w polskiej historiografii wartościowania i na zachowanie obiektywizmu w ocenie swojego bohatera. Wypada gratulować, zaś zainteresowanych do czytania zachęcać.

PS. Z zazdrością czyta się w tej książce o roli ministra spraw zagranicznych jako jednego z kluczowych graczy w polityce każdego państwa. Taką rolę odgrywają na ogół szefowie tego resortu, że przypomnę choćby Andrieja Gromykę, Henry'ego Kissingera, czy bohatera omawianej biografii. Zasadne wydaje się więc pytanie, kto dziś jest w Polsce ministrem spraw zagranicznych? Założę się, że 90% Polaków nie będzie umiało na nie odpowiedzieć.

Andrzej ŻOR



Młodzi a migracje – oczywiste i nieoczywiste relacje

Po przystąpieniu Polski do Unii Europejskiej migrację wybierali głównie ludzie młodzi. Mobilność stała się doświadczeniem generacyjnym współczesnych Polek i Polaków. Źródła, wzorce i przyszłość poakcesyjnych migracji dla forum Idei Fundacji Batorego analizuje Paweł Kaczmarczyk, dyrektor Ośrodka Badań nad Migracjami UW.

Według danych GUS w roku 2017 poza granicami kraju przebywało około 2,5 miliona Polaków, z których większość wybrała Wielką Brytanię jako kraj docelowy. To niewielka zmiana względem liczby 2,3 milionów osób przebywających czasowo za granicą, którą osiągnęliśmy w ciągu pierwszych 3 lat po przystąpieniu do Unii Europejskiej. Od tego czasu około o 6–7% Polek i Polaków jest aktywnie zaangażowana w mobilność, co stawia nasz kraj w gronie najbardziej „migracyjnych” nacji w Europie.

W odróżnieniu od emigracji, których doświadczyliśmy w Polsce od początku lat 70. XX wieku, ta poakcesyjna mobilność jest domeną ludzi młodych (przed 40. rokiem życia), z wyższym wykształceniem i pochodzących z miast. Coraz rzadziej mamy do czynienia z migracją

mi sezonowymi, a coraz częściej z osiedleńczymi. Po 2010 roku zaznacza się tendencja do wydłużania czasu pobytu, coraz więcej jest migrujących rodzin albo osób, które ściągają za granicę bliskich.

Z przedstawianych przez prof. Pawła Kaczmarczyka danych wynika, że migranci z Polski bardzo dobrze zintegrowali się ekonomicznie i wywarli pozytywny wpływ na gospodarki krajów docelowych. Wbrew dość powszechnym obawom nie zanotowano istotnego negatywnego wpływu migracji na poziom bezrobocia czy stawki płac. Efekty migracji dla gospodarki Polski są znacznie mniej oczywiste, ale ostatecznie autor ocenia je jako neutralne.

Jak więc podsumować efekt migracji poakcesyjnych? Po pierwsze, nie sposób nie doceniać aktywności i odwagi młodych Polaków, którzy zdecydowali się na wielokrotnie obciążoną dużym ryzykiem decyzję o wyjeździe za granicę. Te decyzje stały się symbolem gotowości do wzięcia odpowiedzialności za siebie i swoje życie. Po drugie, dostępne dane pokazują, jak wielu z migrujących Polaków odniosło sukces. Części z nich migracja umożliwiła realizację karier zawodowych, innym pozwoliła odnaleźć lepsze miejsce dla własnej odmienności. Po trzecie, osoby powracające z zagranicy albo funkcjonujące w przestrzeni transnarodowej przywoziły ze sobą nowe kompetencje i umiejętności. Ze względu na specyfikę pozycji zawodowych zajmowanych w krajach UE15 były to co prawda przede wszystkim kompetencje o charakterze ogólnym czy cywilizacyjnym, ale w kontekstach lokalnych migranci powrotni często stawiali się „agentami zmiany społecznej” – pisze prof. Paweł Kaczmarczyk.

Zachęcamy do lektury całej analizy!

Opr. w Fundacji Batorego.

O kulturze świeckiej

nie do odrodzenia myśli starożytnej Hellady. F. Petrarca, G. Boccaccio, M. Kuzańczyk, G. Manettii i in. sądzili, że przywołanie z przeszłości dorobku intelektualnego Greków spowoduje w zakresie wiedzy o człowieku niejako powrót do normalności, odrodzi ją i otworzy nowe perspektywy. W ich twórczości odnajdywali bowiem inną od obowiązującej współcześnie wizję człowieka i świata. Poważną rolę w propagowaniu myśli pitagoreizmu neoplatonizmu, arystotelizmu, epikureizmu stoicyzmu odegrała Akademia Platońska we Florencji, z którą związani byli M. Ficino, Leonardo da Vinci, Galileusz, Campanella i in.

Grecy, jak wiadomo, nie wykazywali skłonności do zbytniego wywyższania bogów – a cóż dopiero mówić o człowieku. Cechowała ich trzeźwość w widzeniu świata, ludzi i siebie. Dawali temu wyraz filozofowie i autorzy dramatów czytani i wystawiani do dzisiaj – zapewne dzięki skromności i rzetelności, pozwalającej zachować właściwą miarę w ocenie człowieka i jego miejsca w rzeczywistości. Sprawa miary zasługuje na uwagę. W tradycji europejskiej na trwałe zakodowane jest powiedzenie sofisty Protagorasa (V w. p.n.e.): „Anthropos pantos metron” – „Człowiek jest wszystkich rzeczy miarą”. Zdanie to interpretowano często jako jeszcze jeden argument na rzecz apoteozy czło-

wieka. Nie wydaje się to uzasadnione. Zygmunt Kubiak, wybitny znawca kultury greckiej, trafnie wykląda jego sens pisząc, iż znaczy ono, że „wszystkie rzeczy są dla człowieka takie, jakie on je widzi”. Nie wynika z tego bynajmniej, aby człowiek wyłączał siebie z „wszystkich rzeczy”, które widzi (poznaje). Jest jedną z nich. Podlega tym samym miarom co inne rzeczy. A miara ta jest też jedną z wielu. Dla orła, Iwa czy delfina także wszystkie rzeczy są takie, jak je widzą (tj. poznają). Grecy oceniali człowieka zgodnie z zasadą złotego środka: bez apoteozy i bez ponizienia. Wydaje się, że takie ujęcie może być godnym przykładem dla współczesnego rozumienia sensu idei humanizmu – niezamykające oczu na ułomności człowieka i zarazem dostrzegające szanse przewyżczenia ich w drodze rozwoju własnej energii twórczej, pojednanej z naturą. Oczywiście jest, że istotna rola w tym procesie przypada rozumowi, jako potężnemu instrumentowi poznawczemu człowieka.

Bliskie humanizmowi jest pojmowanie rozumu związanego z działalnością badawczą dotyczącą realnych zjawisk rzeczywistości, z nauką poddawaną krytycznej ocenie i nieustannie sprawdzaną przez eliminację kryjących się w niej błędów. Ten sposób ujęcia rozumu i racjonalizmu zawiera określoną dozę nieuchronnej, w uczciwych badaniach, pokory. Ale wyraża zarazem nieprzepartą wolę poznawczą człowieka, świadomego, że w poszukiwaniu pojednania ze światem i ze sobą „nie przyjdzie mu z pomocą żaden mit”.



Jerzy J. WIATR **Rzeszowska lekcja**

*Dokończenie
z IV s. okł.*

jące wybory na opróżnione miejsce w Senacie. Byłby to dla opozycji kolejny test sprawdzający jej zdolność do uczenia się – tym razem na szczęście nie z porażki, lecz z sukcesu. Ruch laicki nie utożsamia się z żadną partią, ale jest żywotnie zainteresowany tym, by położony został kres rządowi formacji, która klerykalizuje państwo, ogranicza prawa kobiet, wprowadza nacjonalistyczną indoktrynację do szkół i odsuwa Polskę od głównego nurtu Unii Europejskiej. Po zwycięstwie rzeszowskim rośnie nadzieja, że może się to stać już w niedalekiej przyszłości.



Rzeszowska lekcja

Wybory prezydenta Rzeszowa stanowią punkt zwrotny w sytuacji politycznej Polski. Po raz pierwszy rządząca od 2015 roku partia spektakularnie przegrała wybory w mieście będącym stolicą najbardziej jej sprzyjającego województwa – do tego w mieście, w którym niespełna rok temu Andrzej Duda pokonał Rafała Trzaskowskiego, co stanowiło wyjątek na tle innych wielkich miast. Przegrana Prawa i Sprawiedliwości jest porażająca. Kandydat demokratycznej opozycji Konrad Fijołek zdobył 56,5%, a jego rywalka z rządzącej partii Ewa Lenart zaledwie 23,6%. Kłopotliwy dla PiS jest niezły wynik kandydata Solidarnej Polski wiceministra sprawiedliwości Marcina Warchoła (10.7%), gdyż sygnalizuje on, iż partia Zbigniewa Ziobry może jednak liczyć na wejście do Sejmu, gdyby zdecydowała się na zerwanie ze znacznie silniejszym koalicjantem. Wreszcie 9.2% głosów zdobytych przez kandydata Konfederacji Grzegorza Brauna przypomina, że na prawicy PiS ma rywala – niezbyt silnego, ale zdolnego zabrać kilka procent głosów.

Analiza rozkładu głosów wskazuje też na to, że najmłodszy wyborcy (zwłaszcza kobiety) głosują częściej na lewicę niż ogół wyborców, zaś poparcie dla PiS jest największe wśród najstarszych wyborców. To zły sygnał dla partii rządzącej.

Wybory rzeszowskie nasuwają cztery wnioski.

Po pierwsze: opozycja demokratyczna może wygrać, ale tylko wtedy, gdy wystąpi razem odsuwając na bok dzielące ją podziały partyjne.

Po drugie: żeby wygrać trzeba mieć dobrych kandydatów. Konrad Fijołek był świetnym kandydatem, głęboko i trwale związanym z Rzeszowem, znanym i szanowanym z uwagi na wieloletnią działalność samorządową.

Po trzecie: z wyborcami trzeba umieć rozmawiać koncentrując uwagę na tym, co dla nich najważniejsze. To w rozmaitych sytuacjach może oznaczać bardzo różne kwestie, ale ważna jest zasada podstawowa: dialog z masowym wyborcą musi odbywać się na gruncie tych spraw, które dla tego wyborcy są najważniejsze, a nie na tym, co rozpała emocje partyjnego aktywu.

Po czwarte: tak zwana Zjednoczona Prawica nie jest już zwartym blokiem, a różnice coraz wyraźniej występujące w jej szeregach spowodują, że coraz trudniej będzie jej powtarzać niedawne sukcesy. Głosowanie w sprawie wyboru Rzecznika Praw Obywatelskich, w którym większość posłów „Porozumienia” z Jarosławem Gowinem na czele nie poparła kandydatki Prawa i Sprawiedliwości, potwierdza tę obserwację.

Jeśli Senat zatwierdzi wybór Lidii Staroń na stanowisko Rzecznika Praw Obywatelskich, czekają nas uzupełnia-

